

Własność
to nie żadna
świętość

Kogo dziś
śmieszą dresy
bez klasy

Allen Ginsberg:
„Skowyt”
wiecznie żywy

Design
made in PRL
lepszy niż Starck

PRZE KROJ

Nr 13 (3482) / 26 MARCA 2012 / CENA 3,99 zł

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Skłoty są miastom do zbawienia konieczne!



Elba zostaj!

INDICES
371424

ISSN 0033-2488



9 770033 248205

13 >

W sekundę
zdobywasz uznanie.



Nowy Volkswagen CC.

Nie dostaniesz drugiej szansy na zrobienie pierwszego wrażenia.

Ekskluzywny design, luksusowe wykończenie, żywiołowość sportowego samochodu – tymi cechami Volkswagen CC imponuje już na starcie. A z każdą sekundą jazdy Twoje uznanie rośnie, również dla innowacyjnych technologii wspomagających kierowcę, systemów zapewniających bezpieczeństwo oraz znakomitych osiągnięć. **Przekonaj się o tym podczas jazdy próbnej.**



Das Auto.



PRZE KROJ

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

LAST MINUTE
KRZYSZTOF PŁYTA

Krytycy
o pozbawieniu
nas jednej
godziny:
Szkoda czasu
na takie
zabawy!

MAREK RACZKOWSKI



LIST OTWARTY DO PANA JACKA CICHOCKIEGO, MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Warszawa, 21 marca 2012 r.

Panie Ministrze,

w ubiegły piątek funkcjonariusze policji, formacji podległej Panu, wzięli udział w niezrozumiałej interwencji podczas próby nielegalnej eksmisji skłotu Elba w Warszawie. Zarówno samo najście pracowników ochrony na znane centrum kultury niezależnej, obecne na mapie Warszawy od wielu lat, jak i wielogodzinna interwencja policji każe zadać Panu kilka pytań. Na żadne z nich nie byli skłonni odpowiedzieć obecni podczas nielegalnej akcji oficerowie, a jeden z nich, rzecznik prasowy, kłamał, patrząc prosto w oko kamery.

Dlaczego policja ośłaniała nielegalne najście ochroniarzy na Elbę? Dlaczego żaden z policjantów nie podał swoich danych podczas interwencji?

Dlaczego policja stanęła po stronie agresorów i nie podjęła interwencji w obronie nietykalności osobistej oraz mienia osób poszko-

dowanych, mieszkańców Elby?

Dlaczego policja zlekceważyła wszystkie pytania o zasadność interwencji?

Dlaczego dowodzący akcją puścili mimo uszu treść odczytanego wprost do nich fragmentu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego na temat legalności zgromadzeń spontanicznych?

Dlaczego oddział szturmowy prewencji zaatakował ludzi spokojnie stojących w przestrzeni publicznej?

Dlaczego policja użyła środków przymusu bezpośredniego (pałki, gaz) wobec pokojowo zachowujących się grupy osób obserwujących nielegalne działania „ochroniarzy”?

Dlaczego wezwano funkcjonariuszy z bronią gładkolufową?

Kto odpowiada za wielogodziną bezprawną interwencję policji, o czym m.in. pisał Michał Chylak, przedstawiciel i obserwator Helsińskiej Fundacji Praw Czł-

wieka w dzienniku „Rzeczpospolita” z dnia 21 marca 2012 r. w tekście „Bitwa o Elbę, czyli pojedynek z właścicielem i policją”?

Ile kosztowała policyjna akcja i kto będzie za nią odpowiadał?

Dlaczego policja odstąpiła od swoich działań dopiero na widok przybyłej na miejsce interwencji marszałkini Sejmu pani Wandy Nowickiej?

Dlaczego policja nie traktowała poważnie konstytucyjnych praw obywateli do pokojowego manifestowania swoich poglądów?

Co Pan zamierza zrobić, aby podobne nadużycia nie miały miejsca, a odpowiedzialni za liczne naruszenia prawa funkcjonariusze ponieśli zasłużone konsekwencje?

Z poważaniem,
Roman Kurkiewicz
redaktor naczelny tygodnika
„Przekrój”

NIE PISZEMY O TYM...

... że będą dostępne w sieci listy i prywatne dokumenty Alberta Einsteina, w tym listy miłosne. Nie tylko do żony. Dobrze, że Einstein nie pisał bloga. Ale wtedy byśmy na pewno napisali.

... że policji zabrakło kasy na zakup mercedesów. I że przejeżdżają rocznie te radiowozy 300 mln km. Bo to jest przecież 300 mln km naszego bezpieczeństwa na jakże niebezpiecznych drogach.

... że pakistańskie władze więzienne musiały rozsądzić dwie wdowy po Osamie bin Ladenie, ponieważ między 29-letnią a 61-letnią dochodziło do rękoczynów w celi. Starsza formułowala zarzuty natury seksualnej i obyczajowej wobec młodszej. Młodsza zarzucała starszej zdradę miejsca kryjówki Osamy.

... że urzędnicy z Ostródy zamówili za szerokie (o 5 cm) statki do kursowania po Kanale Augustowskim. Za szerokie statki nie zmieściłyby się na pochylniach, które są chlubą i fenomenem inżynierii-no-turystycznym. Ale nie ma

co narzekać na szerokość. Statki i tak tonęły same z siebie podczas próby obciążeniowej. Ale za to w przetargu wygrała firma z najtańszą ofertą, ponieważ wcześniej nie zajmowała się takimi wyrobami. Popłynęli i nie popłyną...

... rozpadła się lub nie rozpadła koalicja po – psl przy okazji reformy emerytalnej. Bo jak PSL mówi, że wychodzi z koalicji, to mówi. Ale może przesilenie polityczne się rozpoczęło. Lub nie.

... że przyjeżdża do Polski nowy prezydent Niemiec Joachim Gauck. Nie piszemy, bo jeszcze nic w tej kwestii nie powiedział prezes PiS. Spokojnie czekamy.

... że trwają kolejne ekshumacje postsmołeńskie. Bo nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

... że w Warszawie w tym tygodniu mamy nie jedną linię metra, ale dwie. Co prawda dlatego, że została zamknięta środkowa stacja Świętokrzyska, dzieląc jedyną trasę na dwie. I tak dzielenie jest mnożeniem. Co wiemy wszyscy z podstawówki.



JESTEM ŚWIETNY W KAŻDYM ŚWIETLE

JESTEM NOWY NIKON COOLPIX S6300. Jestem Twoim bohaterem w ciemności, ponieważ dzięki matrycy CMOS 16 mln pikseli potrafię robić lepsze zdjęcia w słabym świetle. Moja niezwykle kompaktowa obudowa kryje w sobie 10-krotny zoom optyczny od 25 mm, dzięki któremu mam szersze pole widzenia. Jestem gwiazdą w dzień i w nocy. nikon.pl

At the heart of the image

Nikon

PRZED WSZYSTKIM

- 10 Kiedy ochroniarze weszli do warszawskiego skłotu Elba, by wyrzucić mieszkańców, nie spodziewali się takiego oporu. Policja i władze miasta również były zaskoczone tym, ile osób solidaryzuje się ze skłotersami. Co takiego jest w Elbie, o co warto walczyć?
O życiu na Elbie i brutalnej interwencji policji opowiada Krzysztof Pacewicz



S. 10

- 18 O burzliwych debatach wokół własności i kultury oraz o władzy kapitału pisze Ewa Majewska
19 Czarny piątek. Felieton Tomasza Piątka
20 Stora Enso umywa ręce w sprawie Elby. Ale fińsko-szwedzki gigant papierniczy nie po raz pierwszy popada w konflikt z lokalną społecznością – informuje Tomasz Sikora

- 22 Skłoty to nie noclegownie. To centra kultury niezależnej, które obywają się bez instytucjonalnych dotacji. To idea, która aktywizuje młodzież i tworzy wspólnotę – przekonuje Grzegorz Piotrowski

- 24 Klasę robotniczą w Wielkiej Brytanii najpierw zniszczono reformami gospodarczymi, a potem zaczęto się z niej wyśmiewać. Chavs, czyli dresy bez klasy, opisuje Julia Kubisa
28 Strzały w Tuluzie wbijają klin pomiędzy dwie społeczności imigrantów z Maghrebu: Żydów i Arabów, budząc demony kolonialnej przeszłości. Analiza Aleksandry Bilewicz

S. 24

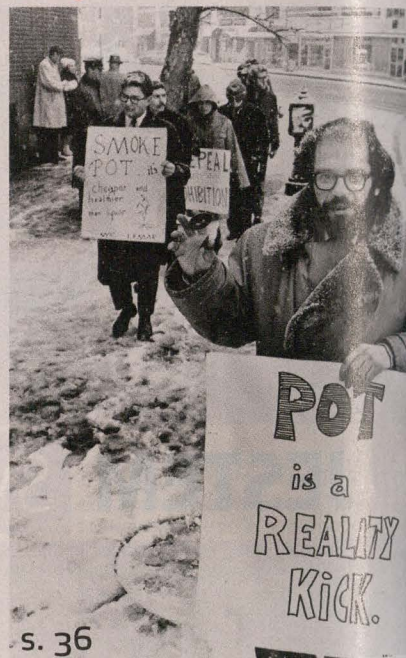
- 30 Czy wspólnym doświadczeniem młodych ludzi Południa i Północy stanie się protestowanie? Czy mają wspólne interesy? A może wspólnych wrogów? – zastanawia się Agata Młodawska

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 32 Lokalne waluty pozwalają uniknąć spekulacji i integrują społeczność, więc stają się remedium na kryzys. Małe jest piękne – twierdzi Bartłomiej Kozek
34 Naprzód. Felieton Adam Ostolskiego
35 Też pytanie! Na najtrudniejsze pytania czytelników odpowiada Joanna Omorska

KONIEC Z KULTURĄ

- 36 O skandalu obyczajowym, jaki wywołał w latach 50. w Stanach Zjednoczonych Allen Ginsberg, mówi film Roba Epsteina i Jeffreya Friedmana. A Jakub Majmurek pyta, czy to rzeczywiście opowieść o zamierzczę historii o zamierzczę historii
40 Czy „Foto-soc-dizajn 50.60.” w galerii Asymetria to wystawa o fotografii, czy o designie? A może o designie, który przetrwał tylko w fotografii? – zastanawia się Jacek Tomczuk



s. 36

RECENZJE

- 42 Film: Hrapkiewicz o świecie, który gaśnie w znakomitym filmie węgierskiego reżysera Beli Tarra
44 Teatr: Kłata znalazł u Schillera zdumiewające pokłady anarchizmu i okrucieństwa – donosi z Berlina Drewniak
45 Książka: O tym, jak kapitalnie Sieniewicz umiał wejść w skórę kobiet w „Spowiedzi Śpiącej Królowej” – pisze Mizuro
46 Muzyka: Winczewski dał się uwieść emocjom płynącym z głębi serca Kiwanuki
48 Gry: „Dear Esther” – grę, w której nie dzieje się nic, czyli bardzo wiele – przetestował Schreiber

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 49–50 Rozmaitości z krzyżówką i Lewomyślnie Kurkiewicz
4, 49, 50 Raczkowski

OFF plus & camera

INTERNATIONAL FESTIVAL OF INDEPENDENT CINEMA

KRAKÓW
13–22.04.2012

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza



www.offpluscamera.com

Sponsor tytularny



Sponsorzy główni



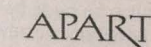
Mecenasi



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



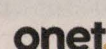
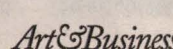
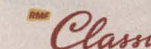
Partnerzy



Współorganizatorzy



Patroni medialni





NIE ZABIERAJCIE NAM ELBY!



W piątek 23 marca ulicami Warszawy pod hasłem „Miasto dla ludzi, nie dla zysku” przeszła kolorowa grupa obrońców Elby, po drodze „zajmując” kilka pustostanów w centrum miasta

Jeszcze przed rozpoczęciem demonstracji policja wkroczyła na teren skłotu Syrena, drugiego obok Elby stołecznego centrum kultury niezależnej. Czy to próba eksmisji? – Nie – mówi jeden z mieszkańców Syreny. – Próbuja po prostu przeszkodzić nam w przygotowaniu do demonstracji. Rzeczywiście, policja tylko spisała skłotersów i opuściła budynek. Przed godziną 18 ponad 1500 demonstrantów wyruszyło z placu Bankowego i przeszło przez centrum Warszawy. Najwięcej było młodych ludzi, z głośników grała muzyka, cho-

ciaż policja nie dopuściła na manifestację platformy, na której miał odbyć się koncert. Poza skłotersami i osobami ich popierającymi, które przyjechały z całej Polski i z zagranicy, można też było dojrzeć polityków i działaczy społecznych, m.in. Wandę Nowicką, Krystiana Legierskiego, Roberta Biedronia, Sylwię Chutnik. Na transparentach widniały hasła: „Warszawa bez Elby jest jak Wisła bez Syreny”, „Matko Boska, chroń Elbląską”, „Pijemy, palimy i brzydko mówimy”. Tłum skandował: „Elba zostaje!”. Przechodząc, demonstranci symbolicznie „zajęli” kilka pustostanów w centrum Warszawy, wywieszając na nich transparenty. Jak tłumaczy demonstrujący, chcieli pokazać władzom miasta, że w Warszawie nie brakuje budynków, które stoją puste. – Skłotersi nie są wrogami miasta, przeciwnie, my chcemy zamienić te straszące skorupy w miejsca tętniące życiem! – wyjaśniła jedna ze skłoterek. Demonstracja przebiegała spokojnie. Zapytaliśmy kilka osób, dlaczego warto bronić Elby. Emilia, studentka ochrony środowiska: „Chciała-

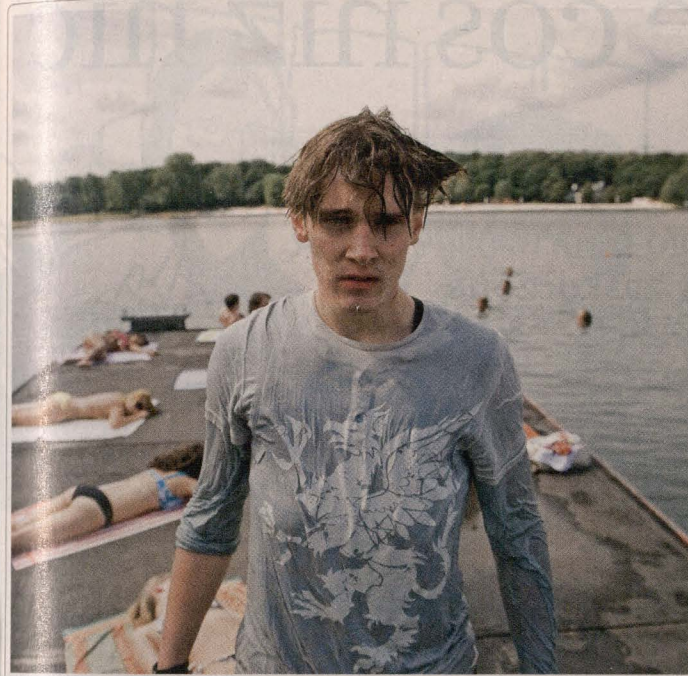
bym, żeby miasto było dla ludzi, tzn. żebyśmy mogli wybrać, czy wolę iść na sushi do fancy knajpki, czy do baru mlecznego, by zjeść zupę za dwa złote. Chcę miasta, w którym można chodzić na koncerty czy wystawy, nie mając dużo pieniędzy. Alina, aktywistka wolnościowa, pracuje w organizacji pozarządowej: „Mieszkałam na Elbie cztery i pół roku, więc cała ta sprawa ma dla mnie wymiar osobisty. Jeśli budynki stoją puste, to coś się powinno tam dziać. Chciałabym, żeby Elba została, ale boję się, że to marzenie ściętej głowy. Jakub, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim: „Denerwuje mnie przekonanie, że fajnie jest, gdy wszystko się uładzi, uprzątnie,



schowa, bo jak przyjadą turyści, to pomyślą, że tu u nas to prawdziwa Europa. Władze myślą, że najlepiej ukryć tych ludzi, którzy nie mają garnitur, bo będą bałagan i przaśność, i politycy się zawstydzą! A ja nie mam garnituru i nie chcę się chować. Pieprzcie się, ja też tu mieszkam!”.

KRZYSZTOF PACEWICZ

NIEZALEŻNE KINO PIĄTY RAZ W KRAKOWIE



Spotkania z wybitnymi filmowcami, geek cinema i nowe kino brytyjskie to atuty tegorocznego festiwalu OFF PLUS CAMERA

Od 13 do 22 kwietnia 2012 r. w Krakowie odbędzie się piąta edycja Międzynarodowego Festiwalu Kina Niezależnego OFF PLUS CAMERA. Przez 10 festiwalowych dni zaprezentowanych zostanie blisko 100 premierowych filmów z całego świata, które zostały nagrodzone oraz docenione na największych międzynarodowych festiwalach filmowych, jak Cannes, Wenecja, Rotterdam, Londyn, Berlin czy Sundance Film Festival. W tych dniach pojawią się w Krakowie blisko 100 gości z zagranicy (reżyserzy, aktorzy, branża filmowa), z którymi festiwalowa publiczność będzie miała okazję porozmawiać. Będzie można także uczestniczyć w spotkaniach z największymi gwiazdami festiwalu, prowadzonych (podobnie jak w ubiegłym roku) przez Elvise Mitcheila, jednego z najbardziej znanych dziennikarzy i krytyków filmowych w USA.

Głównym celem krakowskiej imprezy jest wspieranie młodych, zdolnych reżyserów, znajdujących się u początku kariery. To z myślą o nich organizowany jest międzynarodowy konkurs główny „Wytyczanie drogi” (najważniejsza część festiwalu), na którym przyznawana jest Krakowska Nagroda Filmowa w wysokości 100 tys. dolarów.

Podczas OFF PLUS CAMERA tradycyjnie zostanie także wręczona NAGRODA POD PRĄD przyznawana wybitnej postaci kina za wkład i wspieranie filmów oraz kultury niezależnej. Dotychczasowi laureaci to Jane Campion i Tim Roth. Nowości programowe tegorocznej edycji OFF PLUS CAMERA to cztery sekcje. Geek Cinema poświęcona jest fenomenowi geeków – społecznych moli książkowych i komputerowych. Women Make Movies to cykl filmów przygotowanych w 40. rocznicę powstania organizacji o tej samej nazwie, której głównym celem jest popularyzowanie portretów silnych kobiet oraz piętnowanie ich fałszywych obrazów w mediach. Pozostałe dwie sekcje to Nowe Kino Izraelskie oraz Nowe Kino Brytyjskie (w tym m. in. światowej sławy dokumenty o sztuce wyprodukowane przez BBC ARENA). Podczas pięciu edycji nie zabraknie również stałych pozycji programu, lubianych i cenionych przez publiczność, jak: Odkrycia, From the Gut – Amerykańscy Niezależni, Nadrabianie Zaległości, Konfrontacje oraz Konkurs Polskich Filmów Fabularnych (w którym najnowsze nasze produkcje rywalizować będą o Polski Nobel Filmowy – nagrodę w wys. 100 tys. zł). Więcej na www.offpluscamera.com

GILA ALMAGOR NA ŻYDOWSKICH MOTYWACH

W warszawskim kinie Muranów 25 kwietnia rusza ósma edycja Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Żydowskie Motywy – przeglądu najnowszych filmów dokumentalnych, fabularnych i animowanych, poruszających zarówno współczesne, jak i historyczne wątki żydowskie. Gościem specjalnym będzie Gila Almagor. „Lato Avii”, autobiograficzna książka uhonorowanej wieloma nagrodami aktorki, reżyserki oraz pisarki, stała się bestsellerem w Izraelu. Po kilku latach Almagor napisała jej adaptację teatralną i zagrała w niej główną rolę, a następnie wyprodukowała filmową wersję. Do stała za nią Srebrnego Niedźwiedzia na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie. Jej kolejna powieść, „W konarach drzew”, została w Izraelu okrzyknięta książką roku. W ramach retrospektywy filmów z udziałem Almagor zobaczymy min. „Dług” (2007, reż. Assaf



Bernstein), „W konarach drzew” (1995, reż. Eli Cohen) czy „Lato Avii” (1988, reż. Eli Cohen). Poza tym na festiwalu będziemy mogli zobaczyć filmy polskie, holenderskie, niemieckie, francuskie i kanadyjskie. Festiwal zakończy się 29 kwietnia. Szczegółowy program wkrótce na www.jewishmotifs.org.pl

REKLAMA

T-Mobile na kartę

Rok darmowych rozmów

2 karty SIM w zestawie

Rok darmowych rozmów między dwiema osobami

Starter Między Nami 29 zł

Kup Starter Między Nami

- Podaruj jedną z kart bliskiej osobie
- Rozmawiajcie ze sobą przez cały rok za darmo
- Bez doładowania konta

Chwile, które łączą.

Szczegóły oferty promocyjnej na www.t-mobile.pl



Elba. Lepsze coś niż nic

Kiedy ochroniarze weszli do skłotu Elba, by wyrzucić mieszkańców, nie spodziewali się takiego oporu. Policja i władze Warszawy również były zaskoczone tym, ile osób solidaryzuje się ze skłotersami. Co takiego jest w Elbie, o co warto walczyć?

KRZYSZTOF PACEWICZ

Tu wcale nie jest brudno ani zimno, o ile się o to zadba. To właśnie jest najważniejsze – nikt za mnie nic nie robi. Jeżeli dobrze sobie uszczelnię, zadbam o piec, nazbieram dużo drewna, to mam ciepło – mówi Wojtek, przystojny brodaty dwudziestoparolatek mieszkający na Elbie od sześciu lat.

– Tu świat nie kręci się dookoła pieniędzy, możesz poznać otwartych ludzi, możesz wymienić się doświadczeniami – dodaje Camila, która przyjechała z Hiszpanii. Dziwi się, że w takim dużym miejscu jak Warszawa jest tak niewiele skłotów: – W Hiszpanii są po cztery w jednej dzielnicy.

Elba to najstarszy, największy i najsławniejszy z warszawskich skłotów. Powstał siedem lat temu, kiedy kilkunastu młodych ludzi zajęło pustostan przy Elbląskiej, z dala od centrum miasta. To centrum kultury alternatywnej z prawdziwego zdarzenia – miesięcznie odwiedza je tysiąc osób, z Polski i zagranicy. Na stałe mieszka tam kilkanaścioro ludzi, ale przebywa więcej. Poza koncertami, z których Elba słynie, w kilku budynkach działają: pracownia sitodruku, sala prób, kawiarnia, ciemnia fotograficzna, darmowy warsztat rowerowy, sala gimnastyczna, ścianka

wspinaczkowa, skatepark. Odbywają się wystawy sztuki, projekcje filmów...

W sąsiedztwie stoją przemysłowe magazyny i bloki z wielkiej płyty, powoli wyrastają nowoczesne biurowce.

16 marca, po godz. 10, do Elby bez ostrzeżenia wpadają ochroniarze z firmy Skrzecz. Rozcinają kłódki i łańcuchy, wyłamują drzwi, wrzeszczą, grożą.

Marta: – Szkoda mi czasu na zarabianie tylko na czynsz.

Marta, uśmiechnięta dziewczyna o rumianych policzkach, jest z Elbą związana od kilku lat, a mieszka tam od roku. Skończyła kulturoznawstwo na UW. – Wcześniej wynajmowałam mieszkanie ze znajomymi i szkoda było mi czasu na zarabianie tylko po to, żeby zapłacić czynsz. Prowadziłam warsztaty plastyczne dla dzieci – dalej to robię, ale wtedy, kiedy chcę, a nie cały czas.

Dzięki Marcie Teatr Węgałty, alternatywny teatr wiejski z Warmii, wystawił na Elbie swoją sztukę. „Było fantastycznie – przyszło wiele osób z Uniwersytetu Warszawskiego, z Instytutu Kultury Polskiej. Od tamtej pory nawiązaliśmy z Węgałtami współpracę. Jego założyciele zbuntowali się przeciw rzeczywistości PRL lat 70., a my buntujemy się przeciwko współczesnemu →





→ konsumpcjonizmowi. Nasze buntury sporo łączy”.

Marta udziela się też przy organizacji koncertów. Na Elbę przyjeżdżają zespoły z całego świata: „z Europy to chyba ze wszystkich krajów, z Ameryki Północnej i Południowej, z Azji... Nie wiem, czy był u nas ktoś z Afryki, chyba nie. Głównie punk, ale nie tylko, są też hip-hop, jazz, techno, drum'n'bass, ogólnie muzyka elektroniczna”. Czasem przychodzi 50 osób, czasem 500.

Marta zdaje sobie sprawę, że prędzej czy później Elba będzie

musiała znaleźć sobie nową siedzibę. „Wchodzimy gdzieś, gdzie nic się nie dzieje, i rozkręcamy jakieś działania. W momencie, w którym teren ma być inaczej wykorzystany, my się musimy wynieść. Dla mnie to jest jasne”.

Elba ma na koncie już jedną przeprowadzkę, co prawda niedaleką – trzy lata temu skłot opuścił inną nieruchomość przy tej samej ulicy.

„Stary skłot koparki zwrótny z ziemią, od tego czasu działka stoi pusta. Dobra, to jest teren prywatny, więc właściciel ma prawo.

Ale to jest bez sensu, że lepiej, żeby było nic niż coś – że ktoś od różnorodnych działań kulturowych, społecznych, artystycznych woli gruzowisko”.

Wojtek: – Moja codzienność jest polityczna.

Wojtek mieszka na Elbie z wyboru – wcześniej wynajmował mieszkanie, ale nie podobało mu się, że płaci komuś za udostępnienie lokalu, który należy do niego tylko dlatego, że jego pradziadek go kupił. Inni skłotersi też wcześniej nie spali na dworcu.

„Takie jest założenie – nie chcemy mieszkać z ludźmi, którzy woleliby mieszkać w bloku. Jeżeli ktoś chce tu zamieszkać, to muszą się zgodzić wszyscy. Nie większość, to nie jest demokracja w wersji terroru większości, tylko wszyscy. Kiedy pojawia się bezdomny alkoholik i prosi o dach nad głową, pozwalamy mu zostać na jedną noc, ale nie dłużej. Nie jesteśmy noclegownią”.

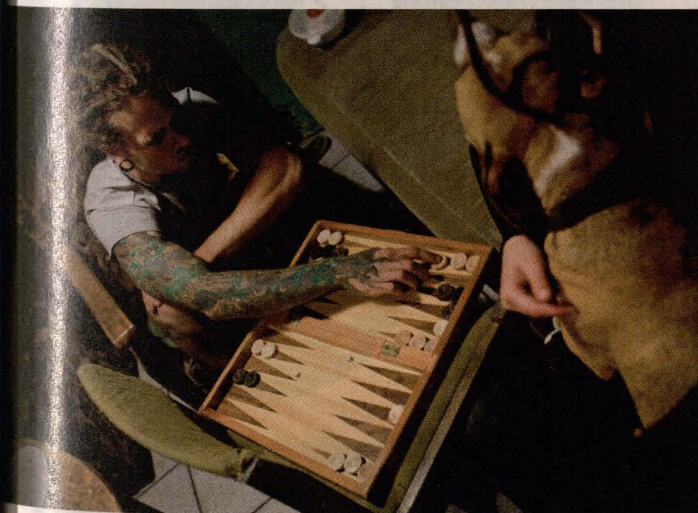
Skłotersi starają się zdobywać żywność i inne produkty za darmo – ze śmietników, spod supermarketów, z bazarów →



Marek Berezowski



Marek Berezowski



Marek Berezowski



Marek Berezowski

REKLAMA

MIEĆ
MIEDŹ

**Budujesz dom?
Powinieneś mieć
nerwy ze stali.
A instalacje z
miedzi.**

Właściciele, którzy dbają o swoje domy, nie idą na kompromis. Jeżeli zależy Ci na dobrym ogrzewaniu i jakości wody – wybierz rury z miedzi. Pomimo upływu lat miedź nie traci elastyczności, jest bardzo higieniczna i nie starzeje się. Możesz na nią liczyć. **Dlatego:**

www.miec-miedz.pl

→ - co nie znaczy, że nigdy nie kupują. Na skłocie działa kawiarnia, podczas imprez sprzedaje się jedzenie po tzw. cenie wolnej. „Co łaska - to może mówić ksiądz w kościele. U nas za jedzenie zwykle płaci się tyle, ile się uważa. Prowadzimy też Freeshop - darmowy sklep. Możesz w nim zostawić coś, czego nie potrzebujesz, i coś sobie wziąć: ubrania, sprzęty, płyty, naczynia”.

Jak wygląda dzień skłotersa? „Chodzenie po śmietnikach nie zajmuje mi aż tyle czasu, wiem, gdzie szukać. Wymieniamy się obowiązkami, codziennie kto inny gotuje obiad. Poza tym zbieranie drewna na opał i oczywiście praca w Freeshopie, przy koncertach...”

Wojtek pracuje poza skłotem dorywczo, ale niektórzy codziennie, a kilku ma nawet własne firmy! Ktoś oferuje prace na wysokości, ktoś ma warsztat rowerowy, ktoś studio tatuażu.

Kiedyś ekipa z Elby prowadziła kawiarnię w samym centrum Warszawy. Mieszkańcy skłotu angażują się w demonstracje, ostatnio w obronę Baru Praso-wego. „Wszystko, co robimy, jest manifestem politycznym, moja codzienność też”.

Skłotersi spędzają ze sobą dużo czasu, jednak konflikty, według Wojtki, zdarzają się rzadko. „Skłot to nie firma, nie jest tak, że ktoś bierze w tym udział, chociaż nikogo nie lubi”.

Camila: - Na Elbie życie nie kręci się dookoła pieniędzy.

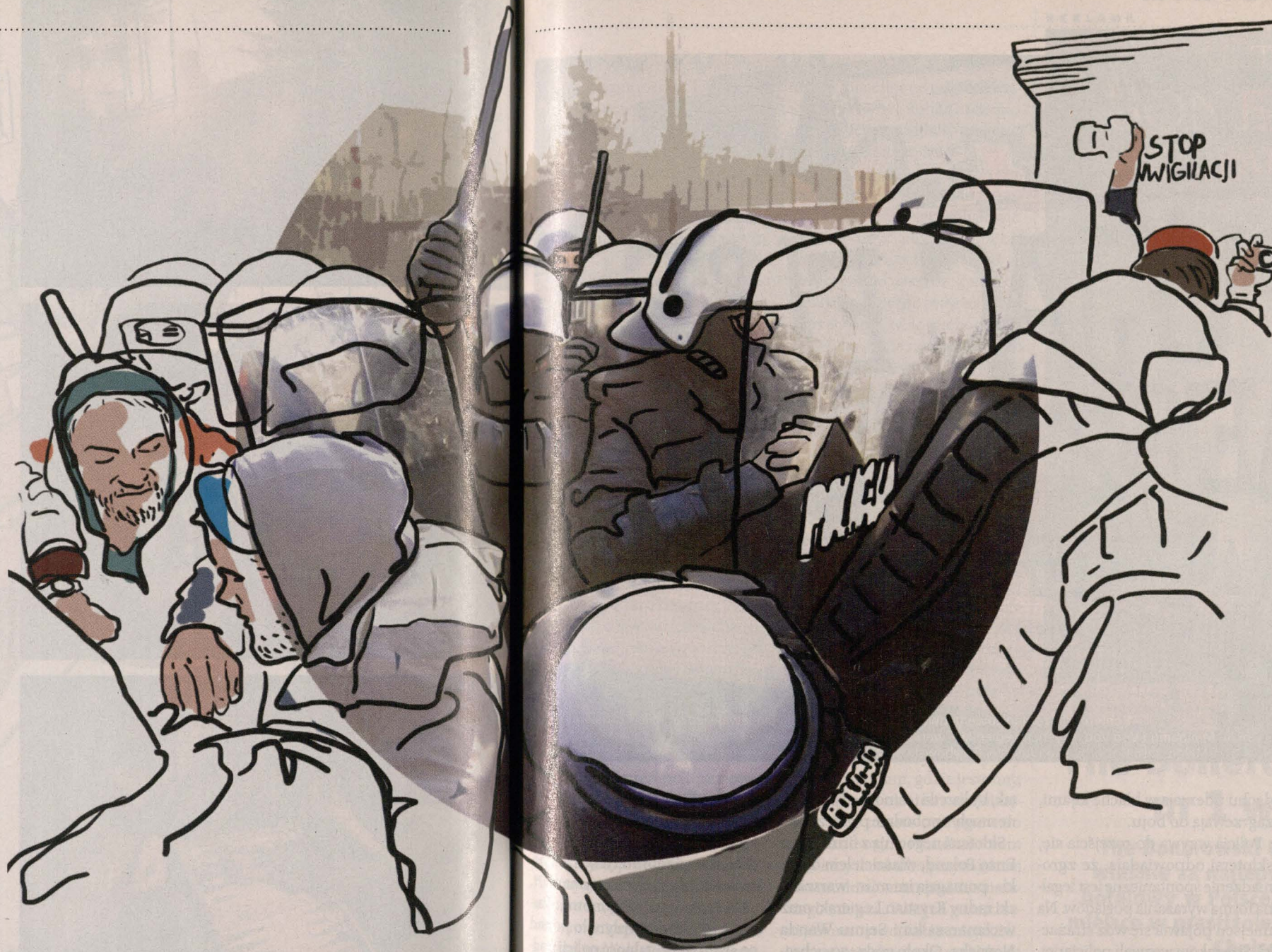
Camila, szczupła Hiszpanka o energicznych ruchach, studiowała grafikę na Akademii Sztuk Pięknych w Walencji, ale pojechała w podróż po Europie i postanowiła zostać na jakiś czas w Warszawie. Na Elbie spędza każdy weekend.

- To, co dzieje się w Warszawie, jest dla mnie przykre - traci duszę i zamienia się w zwykłe, zachodnie, napędzane pieniędzmi miasto. Nie rozmawiasz z ludźmi, bo ciągle jesteś zajęty zarabianiem albo wydawaniem. Miejsca takie jak Elba są dla mnie ważne - mówi. - Oni nie przejmują się trendami, tym, co jest teraz modne, starają się za to, żeby ich działalność artystyczna coś wyrażała.

Ostatnio Camila organizowała festiwal sztuki komiksu, który miał odbyć się 2-4 maja na Elbie. Obecność potwierdzili już goście z Francji, Włoch, Niemiec. Miały być praktyczne warsztaty komiksowe, sitodruku, zino-w, teoretyczne wykłady i dyskusje o rysownikach oraz niezależnej scenie komiksowej.

- Teraz nie wiem, czy festiwal się odbędzie. A bardzo mi zależy, bo mam gdzieś plastikową sztukę z galerii. Chcę stworzyć niezależną przestrzeń, która będzie wyzwała kreatywność, umożliwia kontakty pomiędzy alternatywnymi artystami z różnych krajów i środowisk.

Camila nie jest jedynym obcokrajowcem na Elbie. Skłotersi



biorą udział w wielu globalnych akcjach - np. Food Not Bombs polega na tym, że w ramach protestu przeciwko wydatkom wojennym ludzie na całym świecie przygotowują wegetariańskie posiłki z produktów, które inaczej by się zmarnowały, i rozdają za darmo biednym, bezdomnym, bezrobotnym.

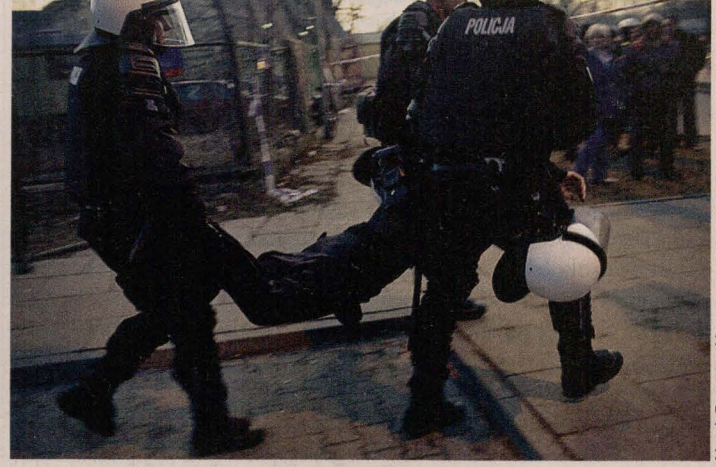
Paweł: - Oni naruszyli mój mir domowy.

Paweł, trzydziestoparoletni Białorusin, na Elbie mieszka od kilku miesięcy - wcześniej wynajmował pokój w Toruniu. Szuka pracy, ale pracodawcy krzywo na niego patrzą, bo ma białoruskie obywatelstwo. Nie pomaga nawet to, że ma kartę stałego pobytu i świetnie mówi po polsku.

16 marca siedział w swoim pokoju.

- Zamknąłem się w pokoju, ochroniarze wylamali drzwi. Wycho-dź, krzyczą. Ja: - Nie wyjdę, bo państwo działają nielegalnie. Na dowód wymieniam im paragrafy. Mówię, że mogą wyprowadzić mnie siłą, ale wtedy odpowiedzą za naruszenie nietykalności cielesnej. Bali się mnie ruszyć, chyba wiedzieli, że łamią prawo - opowiada Paweł.

Kilku mieszkańców Elby barykuje się na dachu. Wokół zaczynają zbierać się ludzie - do wyrzuconych skłotersów dołączają aktywiści zaangażowani w Elbę. Tłum skanduje: „Policja broni bogatych przed biednymi”, „Najpierw ludzie, potem zyski”.





Konferencja zorganizowana dwa dni po próbie ewikcji. Od lewej siedzą: Milo Kurtis – muzyk, m.in. Manaamu i Voo Voo, Krystian Legierski – warszawski radny, członkowie kolektywu Elby: Łukasz Wójcicki, Małgorzata Gasińska i Andrzej Grzybowski oraz Maciej Szajkowski – muzyk Kapeli ze Wsi Warszawa

➔ „Ochroniarze nie mieli plakatów ze zdjęciem i numerem służbowym, niektórzy nawet firmowych kamizelek. Skłotersom siedzącym na dachu grozili, że im »zajebią«. Jacyś ludzie zaczęli wyciągać nasze ubrania, książki, laptopy i bezładnie rzucać na ziemię. Wyrwali blat, kuchenkę, zerwali półki ze ścian. Spytałem ich, co tu robią – okazało się, że nikt im nie mówił, że w środku będą ludzie, myśleli, że mają po prostu wynieść z budynku rupiecie”. Początkowo na miejscu jest kilku policjantów. Po dwóch godzinach – 30, część w zbrojach. Obrońców skłotu jest około setki. W pewnym momencie zgromadzeni próbują wdrzeć się na teren Elby – wyrwują furtkę z zawiasów, rozrywają płot. Policja używa gazu łzawiącego i pałek. Siedzący na

dachu uderzają w blachę kijami, zagrzewają do boju.

Policja wzywa do rozejścia się, skłotersi odpowiadają, że zgromadzenie spontaniczne jest legalną formą wyrażania poglądów. Na miejscu pojawia się wóz strażacki. Strażaków wezwali policjanci, żeby ściągnęli skłotersów z dachu, jednak po interwencji demonstrantów chowają drabinę. Nie wiadomo, czy ze strachu, czy w geście solidarności ze skłotersami.

Demonstrantów przybywa. Około godz. 16 przyjeżdża oddział policjantów w zbrojach, z armatką wodną i bronią gładkolufową. Obrońcy Elby siadają na ziemi. Policjanci stają w zwartym szyku i czekają. Po godzinie zaczynają wyciągać siedzących na ulicy i spisują ich. Demonstranci trzymają się za ręce. Policja daje za wygraną, prosi tylko, by przesiedli się

tak, by karetki i samochody policyjne mogły swobodnie przejeżdżać.

Skłotersi negocjują z firmą Stora Enso Poland, właścicielem działki – pomagają im m.in. warszawski radny Krystian Legierski oraz wicemarszałkini Sejmu Wanda Nowicka. Około godz. 20 ochrona opuszcza teren, policja wycofuje się chwilę później. Obrońcy ogłaszają zwycięstwo.

Wieczorem Stora Enso Poland wystosowuje oświadczenie: „Dajemy grupie tydzień czasu na zabranie swoich rzeczy i ostateczne opuszczenie bezprawnie zajmowanego terenu”.

Paweł jest jedną z trzech osób, które zostały zatrzymane. „Policjanci zagrozili, że oskarżą mnie o naruszenie miru domowego – a przecież to do mojego miejsca zamieszkania włamali się obcy ludzie! To ochroniarze

naruszyli mój mir domowy. Nie postawili mi żadnych zarzutów i jestem traktowany jako świadek, nie wiadomo tylko czego – świadek własnego zatrzymania?”. Do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Żoliborz wpłynęło ponad 90 skarg na brutalność policji podczas najazdu na Elbę.

Rafał: – Firma kłamie!

Kiedy Rafał, od kilku lat zaangażowany w Elbę, w niedzielę 18 marca organizuje z innymi skłotersami konferencję prasową i rodzinny piknik, przychodzi co najmniej sto osób. Można zjeść wegański posiłek, nauczyć się puszczać wielkie bańki mydlane, zagrać w piłkarzyki, posłuchać muzyki...

„To nie była żadna eksmisja, tylko włamanie. Eksmisja jest możliwa jedynie z wyrokiem

sądowym i może ją przeprowadzić tylko komornik. Firma kłamie, że nie wiedzieli o naszym istnieniu; trzy lata temu poszliśmy do ich biura i pokazaliśmy katalog naszych inicjatyw. Stora Enso oskarża nas o nielegalne zajęcie własności, a sama nielegalnie przejmując ziemię na całym świecie!”.

Zyski fińskiej korporacji Stora Enso liczone są w setkach milionów euro. W maju zeszłego roku sąd w Brazylii skazał należącą do Story Enso firmę Veracel o zajęcie, wykarczowanie i obsadzenie eukaliptusem terenów w gminie Eunapolis. W Chinach Stora Enso przejęła tysiące hektarów od prywatnych właścicieli; ci, którzy nie chcieli sprzedać ziemi, byli bici i zastraszani przez „nieznanych sprawców”.

Budynek, w którym obecnie znajduje się Elba, przed laty służył jako skład makulatury. Spółka Euro-Top-Kol Wojciecha Roguskiego, która niedawno wynajęła działkę od Story Enso Poland, zajmuje się „sprzedażą hurtową odpadów i złomu”. Pewnie chcą Elbę pociąć na kawałki i sprzedać na złom – komentują skłotersi.

Podczas konferencji prasowej Krystian Legierski mówi, że niedopuszczalne jest wyrzucanie kogokolwiek przez prywatną firmę, której asystuje policja. Pada pytanie, czy na skłocie są gaśnice. Ktoś z tłumu krzyczy: „A co ze spalonymi kamienicami na Pradze? A co ze spaloną Jolą Brzeską?” (Brzeska była działaczką ruchu lokatorskiego, jej spalone ciało znaleziono rok temu w Lesie Kabackim).

Maja: – Elba to nie noclegownia.

Prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz: „Takie miejsca są bardzo niebezpieczne. Był już pożar na skłocie w Wawrze. Ludzie zostali ranni. Lokatorzy tam piją, palą papierosy i od tego robi się pożar. Muszą ingerować służby porządkowe. U nas jest wystarczająca liczba miejsc w noclegowniach dla bezdomnych”.

Maja, szczupła blondynka, która mieszka na Elbie od czterech lat: – Pierwsza lepsza kobita zaczęła na ulicy potrafiłaby się lepiej wypowiedzieć!”.

Maja z innymi skłotersami zorganizowała happening – w poniedziałek kilkadziesiąt osób przyjechało do noclegowni na Żoliborzu. Przywieźli bębny, pianino, gitarę, części do rowerów, sprzęt do baseballa, ekran do projekcji. „Nie potrzebujemy tylko miejsc do spania – Elba to nie noclegownia, to centrum kultury niezależnej”.

Przed wejściem do noclegowni skłotersi grali i śpiewali, ćwiczyli brzuszki, skręcali rowery, rzucali piłką. Drzwi początkowo były zamknięte, w końcu ze środka wyszli zdziwieni mieszkańcy. Ostrzegali: w środku nie ma miejsca, szukajcie gdzie indziej!

Jeden ze skłotersów odczytał oświadczenie: „(...) Ewikcja Elby jest próbą zniszczenia jednego z największych zagłębi kultury alternatywnej w Polsce. Dlaczego tam, gdzie istnieją możliwości, władza widzi wyłącznie trudności?”.

Maja: – Chciałabym, żebyśmy mogli zostać tam, gdzie jesteśmy, ale jeśli to się nie uda – chcielibyśmy, żeby miasto potraktowało nas jako stronę i znalazło nam jakiś inny teren albo przynajmniej nie utrudniało nam znalezienia takiego miejsca. Pustych przestrzeni jest mnóstwo, także miejskich, jest zapotrzebowanie na kulturę alternatywną, więc dlaczego miasto nam nie pomaga?”.

W chwili, gdy zamykamy to wydanie „Przekroju”, trwają demonstracje solidarności ze skłotersami z Elby: w Londynie przed Ambasadą RP i w Helsinkach pod siedzibą Story Enso. Skłotersi z Elby negocjują jeszcze z przedstawicielami firmy.

Niektóre imiona zostały zmienione.



W każdą niedzielę o 8.30 „Przekrój” jest gościem programu „Raport Tygodnia” w radiu VOX FM

REKLAMA

THE BONEROWSKI PALACE

A.D. 1514

★★★★★

BOUTIQUE HOTEL



Zabytkowa, pieczołowicie odrestaurowana i z rozmachem urządzona średniowieczna kamienica przy Rynku Głównym zwana jest Pałacem Bonerowskim. Od kilku lat działa w niej luksusowy, kameralny hotel butikowy The Bonerowski Palace.

The Bonerowski Palace nr 1 w Polsce!

The Bonerowski Palace uznany został właśnie za najlepszy luksusowy obiekt hotelowy w Polsce, zdobywając pierwsze miejsce w prestiżowym rankingu Travelers' Choice Awards.

Kameralny obiekt oferuje gościom 8 pokoiów o znacznie podwyższonym standardzie oraz 7 apartamentów o powierzchni od 80 do 120 metrów kwadratowych. Nocleg pod nocnym niebem Krakowa w wyposażonym w szklany dach luksusowym Penthouse Suite to gwarancja naprawdę niezapomnianych wrażeń. Pozostałe pokoje i apartamenty zapewniają gościom równie wspaniały widok na Rynek Główny, historyczne serce Krakowa.

The Bonerowski Palace to także centrum konferencyjne, składające się z dwóch klimatyzowanych, profesjonalnie wyposażonych sal. O najwyższą jakość potraw i dań dba Restauracja Milano, zaś niezapomniany smak i aromat tradycyjnych ciast, tortów i deserów zapewnia cukiernia Ul lala.

The Bonerowski Palace od chwili swojego powstania z dumą pełni zaszczytną rolę ambasadora Krakowa i Polski w gronie gości z całego świata. Plasując się na szczycie rankingu luksusowych hoteli w kraju obiekt z jeszcze większą radością stawiać będzie w świecie polską gościnność oraz kultywować polskie dziedzictwo historyczne i rodzime tradycje kulturowe.

The Bonerowski Palace**** usytuowany jest przy Rynku Głównym 42. Hotel należy do skupiającej najwyższej klasy hotele butikowe francuskiej sieci Hotels&Preference, legitymuje się rekomendacją prestiżowego Czerwonego Przewodnika Michelin oraz jest członkiem stowarzyszenia Historycznych Hoteli w Polsce i organizacji Historic Hotels of Europe. www.palacbonerowski.pl

EWA MAJEWSKA

Zanim zajmimy się skłotem na Elbląskiej w Warszawie, cofnijmy się na chwilę w czasie. Jest rok 1998, może 1999, i legalny, zarejestrowany przejazd rowerowy, w którym uczestniczy około 350 rowerzystek i rowerzystów, nagle zatrzymuje się na pl. Bankowym. Skądś błyskawicznie rozwija się 30 metrów kwadratowych żywej trawy, pojawiają się dmuchane baseniki z wodą, dzieci, kwiaty i taneczna muzyka.

Ulica jest „nasza”, rozczarowane samochody oraz wściekli policjanci nie mogą na to wiele poradzić, również dlatego, że na obrzeżach nieoczekiwanego pikniku ekolodzy zawiesili się na roboczo skleconych drewnianych rusztowaniach, których przewrócenie groziłoby im upadkiem.

Jest niedziela, świeci słońce, a młodzi na ogół ludzie z rozbawieniem łamią prawo, za

pretekst do bezkompromisowego ucięcia debaty przy jednoczesnych oskarżeniach o „wtargnięcie” czy „kradzież”.

„Nie mieli prawa tam być” – stwierdziła rzeczniczka firmy Stora Enso, co przypomniał w artykule w „Gazecie Wyborczej” Jacek Żakowski. Nie mieli prawa tam być, więc mogła ich bez uprzedzenia zaatakować uzbrojona w gaz i pałki grupa policjantów i ochroniarzy, w sumie ponad 150 osób. Nie mieli prawa tam być, więc nie musimy z nimi rozmawiać. Nie mieli prawa tam być, więc miasto może dorzucić swoje trzy grosze i jakąś setkę (z moich między innymi pieniędzy opłacanych) policjantów.

Jeśli wstyd, jak pisze Mary Douglas, jest społecznie i kulturowo uformowaną reakcją na uwewnętrznione normy, to właśnie się wstydę. W tym nieraz okraszonym rumieńcem czy wstrętem doznaniu jest zarówno niezgoda, jak i skrzepowanie. Niezgoda, bo narzędnia brutalnej przemocy nie mieszczą się w reper-

Tak, własność ma brutalną, miejscami krwawą historię. Stąd w kraju, którego konstytucja definiuje ustrój jako „społeczną gospodarkę rynkową”, czyli w Polsce, prawo własności nie może być absolutyzowane. W szczególności nie może stanowić uzasadnienia brutalnej przemocy wobec osób, które – co pozostaje do udowodnienia – prawo to ewentualnie naruszają.

Krytyka absolutyzacji prawa własności nie musi automatycznie prowadzić do jego obalania czy nawet naruszania. Jest jednak niezbędnym elementem takiej polityki, w której respektowany jest wymiar społeczny, obok rynkowego. Jeśli nie chcemy, by firmy takie jak Stora Enso czy znany z brutalnych interwencji Chevron swobodnie sięgały po dowolny asortyment środków, by „bronić swojej własności”, musimy się nauczyć rozmawiać nie tylko o tym, kto ma prawo do tego, gdzie być, ale również o tym, co i w jaki sposób może robić właściciel własności i jakie są w takich sytuacjach

Własność z ludzką twarzą

O skłocie Elba w Warszawie, o burzliwych debatach wokół własności i kultury oraz o władzy kapitału. Suwerennej

co przyjdzie im zresztą później dość słono zapłacić. Klasyczna sytuacja obywatelskiego nieposłuszeństwa opisanego już w latach 60. przez Hannah Arendt.

Kilka lat później z prezydenckiego pałacu w Warszawie usłyszymy, że „Warszawa to nie wieś, tu się nie jeździ rowerami”, że „nie musimy się tak oglądać na ten Zachód”. Ścieżki rowerowe, obowiązkowy w świetle prawa element nowej infrastruktury miejskiej, albo nadal się nie pojawiają (skandaliczny przykład – remont Krakowskiego Przedmieścia), albo urywają się np. przy schodach do tunelu na rondzie Nienazwanym.

Innymi słowy – łamanie prawa to zawsze sprawa negocjacji, interpretacji i społecznej debaty. Żyjemy – jak chciałby klasyk od prestrzeni publicznej oraz konsensualnej demokracji Jürgen Habermas – w świecie deliberacji. I debata, zapośredniczona w instrumentach kultury oraz prawa, powinna stanowić normalny element naszego życia.

Nie zawsze jednak stanowi. Szczególnym przypadkiem tej sytuacji, kontekstem, w którym ów brak odsłania się w formie wyjątkowo dotkliwej, jest prawo własności. Tytuł do gruntu czy mienia stanowi w wielu przypadkach

tuarze demokracji. Skrzepowanie, bo w końcu głupio publicznie ochrzaniać demokratycznie wybranych i sownie z budżetu opłacanych publicznych urzędników. Jednak czasem jest to jedna z niewielu rzeczy, jakie można zrobić. Nie tylko po to, by niektórzy z nich się po prostu opamiętali, ale również po to, by z mocniejszym akcentem zaproponować inną dyskusję – toczącą się właściwie od zarania pojęć takich jak „własność prywatna”.

Już w starożytności ludzie dzielili się na takich, którzy posiadali, oraz tych, którzy nie posiadali, a nawet – byli posiadani. U Arystotelesa czytamy na przykład, że niewolnik, podobnie jak zwierzęta czy sprzęty gospodarstwa domowego, jest rzeczą. U tego ohocho cytowanego filozofa polityki znajdujemy również obszerne instrukcje o kryteriach wykluczenia wszystkich, którzy muszą pracować, by żyć, poza obręb publicznej debaty. Podobnie jest u Johna Locke’a, który – choć przyznaje pewne prawa na przykład kobietom – uważa również, że to mężczyźni reprezentują rodzinę w przestrzeni publicznej, zaś tymi, którzy własności nie posiadają w ogóle, bezpośrednio zarządza suweren, z prawem do ich życia i śmierci włącznie.

obowiązki publicznej władzy. W przeciwnym razie zafundujemy sobie niehumanitarną politykę nagiej przemocy, w której pewne formy ludzkiego życia – te nieposiadające żadnej własności – skazane zostaną na nieustający stan wyjątkowy, na ciągłe zagrożenie bezpośrednimi narzędziami przemocy suwerennej władzy.

Skłot Elba działa od wielu lat. „Działa”, czyli oferuje warsztaty rowerowe, bezpłatne posiłki, koncerty, wystawy i spotkania. Jest placówką niezależnej kultury, której usunięcie z mapy Warszawy będzie nie tylko wielką stratą, ale też gestem niewdzięczności ze strony miasta. Nie wiem, co pałą urzędnicy miejscy w Warszawie, niemniej zapewne nie są to tylko papierosy, skoro jako argument przeciw skłotersom wytaczane jest to, że może używają nikotyny bądź sięgają po „brzydkie wyrazy”. Po interwencji uzbrojonych sił policji i ochrony na Elbę mnie również cisną się na usta rozmaite wyrazy. Mam jednak wrażenie, że przynajmniej dotyczą one tematu.



Ewa Majewska
jest doktorantką filozofii
feministycznej z Instytutu
Kultury UJ.pdf

Trupa Trups



TOMASZ PIĄTEK
Autor felietonu
jest pisarzem

Dzięki odpowiedniemu wydzieleniu gazów gnilnych papudze Zebkowi udaje się nadymać klatkę piersiową w taki sposób, że wygląda to dokładnie jak oddychanie. Nie zdziwiłem się nawet, kiedy odkryłem, że Zebek tak naprawdę nie żyje, tylko po mistrzowsku papuguje funkcje życiowe, jak to papuga. Zainteresowały mnie jednak jego motywacje. – Na co ci to, Zebku? – pytałem. – Przecież mógłbyś się spokojnie rozkładać, nie zmuszając się do tak ciężkiej pracy jak życie. Szczególnie ciężkiej, gdy się nie żyje. Pomyśl tylko: cisza i ukojenie na kwietnym papuzim cmentarzu (oczywiście go nabierałem: żadnych papuzich cmentarzy, wyrzuciłbym go do śmieci).

I kiedy tak monologowałem do nadymającej się gazami gnilnymi papugi, dostałem pismo z kancelarii premiera. A właściwie Zebek dostał pismo, w którym mianowano go rządowym pełnomocnikiem do spraw skowytu. Dlaczego? (Dlaczego on, a nie ja?!) – zadałem sobie pytanie. A potem zrozumiałem. Zebek został nagrodzony za to, że zrozumiał i zrealizo-

wał prawdziwe założenia reformy emerytalnej. Tej reformy, o którą tak ładnie pokłócili się Pawlak z Tuskiem (Tusk postanowił podnieść wiek emerytalny do 67. roku życia, Pawlak proponował, żeby przy tej okazji pogłaskać ludzi po główkach, Tusk uznał, że to niedopuszczalne ustępstwo).

Zebek działa zgodnie z dalekosiężnym zamysłem Tuska. Bo czym jest podniesienie wieku emerytalnego do 67. roku życia? Skromnym początkiem. Gdy ludzie przyzwyczajają się już do tego, że można pracować do sześćdziesiątki siódemki, wtedy podniesie im się ten wiek do 70. roku życia. Albo do 200. Większość polskich mężczyzn i tak ledwo dożywa siedemdziesiątki, więc nie robi im to większej różnicy. Trupy są mniej wrażliwe. Mogą pracować i do dwusetki.

I to jest sedno genialnego pomysłu Tuska na reformę emerytalną. Zombifikacja polskiej gospodarki, oparcie jej na niewymagających, mało roszczeniowych pracownikach martwych. Dodatkowym plusem jest to, że trupom, ze względu na ich bliskie związki z glebą, płaci się nie w złotych, a w błotówkach. Gdy się wymienia złote na błoto, przelicznik jest bardzo korzystny.

To rewolucyjne wydobywanie spod ziemi ukrytych zasobów ludzkich odbędzie się łatwo, prosto, fiku-miku i bez krzyku, bo Polacy do rządów Tuska mają taki stosunek, jak w tym dowcipie o kierownictwie fabryki i robotnikach: „Jutro was wszystkich powiesimy. Czy są jakieś pytania? – A sznurek to przynieść własny czy będą wydawać z magazynu?”. Jeśli Tusk każe nam

pracować po śmierci, będziemy pracować i po śmierci. Tu mała wstawka marketingowa: z tej okazji specjalne lizaki w formie małych ludzkich czaszek wprowadzi na rynek marka Chupa Chups. I zmieni nazwę na Trupa Trups.

Ale wróćmy do meritum. Trzeba powiedzieć, że reforma emerytalna Tuska jest retroaktywna. Działa wstecz, odbiera ludziom prawa już nabyte lub w trakcie nabywania, jak to fachowo określa Zebek (Zebek jest papugą). A skoro reforma działa wstecz, to powinna działać też na wszystkich, którzy już umarli. W ciągu ostatnich 200 lat zszedłeś? To wstawaj! Dosyć opieprzania się w mogile! Pan Bolesław Prus? Bardzo mi miło, ale proszę razem ze wszystkimi kolegami do roboty! Dziarsko, z uśmiechem, radośnie szczerząc zębodoły! Wszyscy razem w jednym tempie! (Wszyscy razem w jednym tempie wyżywamy się na Glempie – zrymował Zebek, który zna moje ukryte pragnienia)

*Tuskaz rozka, rozkaz Tuska:
Czy stokrotka, czy kapustka
Co tam rośnie na twoim grobie,
Nie odpoczniesz trupie sobie
Rozkaz Tuska, Tuskaz rozka
Z grobów wstaje martwa Polska
Robotników-grobotników
Co harują wciąż bez krzyku.*

Powiedziałem ten wierszyk Zebkowi. „Mężczyźni nie mogą rodzić, dlatego tyle uwagi poświęcają defekacji – odpowiedział. – Jest to dla nich czynność zastępcza. A przynajmniej była aż do chwili, w której pewien mężczyzna zebrał się w sobie i urodził Gównocześniaka. Tak właśnie powstałeś ty”.

Stora Enso umywa ręce

TOMASZ SIKORA

Teren, na którym działa warszawski skłot Elba, należy do firmy Stora Enso Polska, będącej oddziałem fińsko-szwedzkiego giganta papierniczego. Stora Enso jest drugim co do wielkości producentem papieru i opakowań papierowych, tektury oraz celulozy na świecie. Firma, której największymi udziałowcami są państwo fińskie i szwedzka rodzina Wallenbergów, zatrudnia 30 tys. pracowników w ponad 35 krajach, a jej zysk operacyjny w 2011 r. przekroczył 866 mln euro.

Stora Enso Polska produkuje w kilku zakładach na terenie kraju celulozę, papier, tekturę i pudła oraz worki papierowe. Od 14 lat wytwarza za darmo tekturowe skarbonki na finały Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Chwali się odpowiedzialnością za ekonomiczne i społeczne skutki swoich działań, deklaruje pełne zrozumienie dla ekologicznych wyzwań dzisiejszych czasów i proponuje nowatorskie podejście do materiałów odnawialnych.

Tyle PR, a jak wygląda globalna odpowiedzialność firmy w praktyce, mogły przekonać się Brazylijki z ruchu Via Campesina. 4 marca 2008 r. około 900 kobiet protestowało na należących do Story Enso polach uprawnych Tarumã Farm w Rio Grande do Sul. Chciały zwrócić uwagę na łamanie prawa, bo brazylijskie przepisy zabraniają obcokrajowcom kupowania ziemi w 150-kilometrowym pasie granicznym. Należące do Story Enso ogromne monokulturowe plantacje drzew – nazywane zielonymi pustyniami – są zagrożeniem dla lokalnych ekosystemów. Sprzedawanie coraz

Fińsko-szwedzki gigant papierniczy Stora Enso nie po raz pierwszy popada w konflikt z lokalną społecznością



Członkinie ruchu Via Campesina protestują na ziemi zakupionej – jak twierdzą bezprawnie – przez koncern Stora Enso (marzec 2008 r., Rio Grande do Sul w Brazylii)

to nowych obszarów zagranicznym inwestorom sprawia, że brakuje ziemi uprawnej dla rdzennych mieszkańców. Protestujące kobiety ścinały drzewa eukaliptusa i zastępowały je sadzonkami lokalnych roślin. Zostały brutalnie usunięte z terenu plantacji, 60 z nich zostało rannych, a 800 trafiło do aresztu, pozostawiając bez opieki 250 dzieci.

Stora Enso weszła w konflikt z lokalnymi społecznościami również w Chinach. W rejonie Hepu w prowincji Guangxi firma chce wydzierżawić na 50 lat 180 tys. hektarów pod plantację drzew eukaliptusowych. Pozy-skaniem tych terenów dla Story Enso zajmują się lokalni urzędnicy, którzy wywłaszczają rolników w zamian za skandalicznie niską rekompensatę – rocznie 50 euro od hektara na całą wieś! Szacuje się, że ten wart 140 mld euro projekt będzie miał wpływ na życie około 650 tys. ludzi. Protestujący rolnicy są zastraszeni i bici. Lokalni przedstawiciele Story Enso twierdzą, że o pobiciach nic nie wiedzą i że dbają o dobre stosunki z ludnością, dając im prace i realizując 50 projektów na rzecz lokalnych społeczności. Wieśniacy jednak za akty agresji winią fińsko-szwedzką firmę, która ich zdaniem powinna wziąć odpowiedzialność za to, co dzieje się na terenie jej inwestycji.

W sprawie skłotu Elba rola Story Enso również jest niejasna. Firma deklaruje, że nie odpowiada za to, co się tam stało, ponieważ teren dzierżawi spółce Euro-Top-Kol, a ta postanowiła siłą wyrzucić mieszkańców skłotu.

Deklarowana globalna odpowiedzialność społeczna firmy nie pierwszy raz rozprasza się w łańcuchu dzierżawców, lokalnych partnerów i urzędników.

REKLAMA

Ludzie, którym się chce

W czasie, gdy wielu pracodawców ogłasza zamrożenie rekrutacji czy nawet zwolnienia, firma która do 2015 roku globalnie planuje zatrudnić nawet 100 000 osób, jest co najmniej warta uwagi.

ROZMOWA Z CARLOSEM DUARTE,
DYREKTOREM ZARZĄDZAJĄCYM
H&M W POLSCE, CZECHACH,
NA WĘGRZECZ, SŁOWACJI
I W RUMUNII.



– Stracone pokolenie, pokolenie „nic”, pokolenie „copy-paste” – tak mówi się o tych, którzy powoli wchodzą dziś na rynek pracy. Czy faktycznie zawodowa przyszłość osób urodzonych po 89. roku jest taka zła?

– Do pracy u nas szukamy osób, którym się chce – to chyba najprostszy opis naszych wymagań. W naszej firmie panuje przekonanie, że jedyne, czego nie można się nauczyć, to dobrego nastawienia do pracy, energii i wiary, że wszystko jest możliwe. Cała reszta przychodzi z doświadczeniem i w trakcie szkoleń. W kandydatach bardzo cenimy ambicję i chęć uczenia się nowych rzeczy, rozwoju. Niemal wszyscy z naszych pracowników, którzy dziś pracują na stanowiskach menedżerskich, zaczęli od pracy w sklepie. W tym ja. – Wiele firm mówi dziś o wyższości rekrutacji wewnętrznej nad zewnętrzną – zwolennicy przekonują, że oszczędność czasu, energii poświęconej na szkolenie oraz jego kosztów, jest ogromna. A nie jest jednak tak, że decydując się na taką formę rozwoju, zamykacie się na świeże pomysły, tzw. „dopływ świeżej krwi”?

– Funkcjonujemy w biznesie, który zmienia się tak szybko, że nawet pracując w H&M przez wiele lat, każdy dzień może być zaskakujący. Oprócz tego, staramy się zapewnić naszym pracownikom dość atrakcji – nasi ludzie pracują w ponad 150. sklepach, w pięciu krajach, wspierają nowo otwierające

”Średni czas między zmianą stanowiska, miejsca pracy czy specjalizacji to ok. dwa lata. Trudno się znudzić.

się sklepy, uczą swoich kolegów z mniejszym doświadczeniem. Średni czas między zmianą stanowiska, miejsca pracy czy specjalizacji to ok. dwa lata. Trudno się znudzić.

– Wiele firm mówi o sobie „dynamiczna”, „oferująca wyzwania”, „ciekawa” – co Was wyróżnia? – Jakiś czas temu przeprowadziliśmy wśród pracowników H&M badanie, w którym pytaliśmy o to, co jest dla nich ważne w pracy. Chcieliśmy dowiedzieć się, czy obszary, na których rozwój

”Polska jest jednym z najszybciej rozwijających się krajów grupy H&M na świecie – co roku otwieramy tu kilkanaście nowych sklepów.

postawiła kadra menedżerska, to te, które mają największe znaczenie dla pracowników. Badanie dostarczyło ciekawych wniosków, które wykorzystujemy do dziś, ale tu chcę powiedzieć w szczególności o jednym – paradoksalnie takim, na który dział HR ma niewielki wpływ. Ogromna

większość naszych pracowników, za jeden z największych atutów pracy w H&M wymieniła dobrą atmosferę, świetny kontakt ze współpracownikami i możliwość nawiązania przyjaźni. Po przeszło 18 latach w firmie, mogę to potwierdzić z całą mocą. We wszystkie aspekty naszego funkcjonowania wprowadzamy też zasadę „prościej znaczy lepiej”, króluje zdrowy rozsądek. Mamy płaską i prostą strukturę – przywiązujemy niewielką wagę do hierarchii czy tytułów, a pracownicy biur nie mają nawet nazw stanowisk na swoich wizytówkach. – W przyszłym roku minie 10 lat od otwarcia pierwszego sklepu H&M w Polsce – dynamiczny rozwój na początku jest zrozumiały, ale czy jesteście w stanie wciąż tak bardzo rosnąć? Czy pracownicy, którzy dołączają dziś wciąż mogą myśleć o takiej karierze jak pańska?

– Oczywiście. Polska jest jednym z najszybciej rozwijających się krajów grupy H&M na świecie – co roku otwieramy tu kilkanaście nowych sklepów zarówno w mniejszych, jak i większych miastach. Nasze potrzeby rekrutacyjne są więc ogromne. W Warszawie znajduje się nasza centrala na region Europy Centralnej. Polacy i Polki – jesteśmy dumni, że w naszej kadrze menedżerskiej ponad połowa to panie – zarządzają obecnie funkcjonowaniem H&M w Rumunii, na Węgrzech, a nawet na zachodnim wybrzeżu USA! Wciąż potrzebujemy młodych, zdolnych – tych, którym się chce.

GRZEGORZ PIOTROWSKI

Co jakiś czas przy okazji emisji skłotu (czy też – jak mówią jego mieszkańcy – ewikcji) wypływa kwestia jego funkcjonowania w przestrzeni publicznej. Skłoty (od angielskiego squatting, dosłownie: kucanie, w Polsce aktywiści zdają się preferować spolszczoną wersję tego słowa) to nielegalnie zajęte pustostany, jednak ich funkcja znacznie wychodzi poza zapewnienie schronienia. W ostatnich dziesięcioleciach skłoty stały się kręgosłupem kultury alternatywnej i niezależnej.

Własność to kradzież

Skłoting jest krytyką konsumpcyjnej egzystencji, mieszczaństwa i kapitalizmu, stylem życia, który przyciąga coraz to nowe pokolenia młodych buntowników. Same skłoty mają być strefami wolnymi od wyścigu szczurów. Doskonale ilustrują zasadę DIY (Do It Yourself – Zrób To Sam/Sama), która stanowi podstawę ich niezależności. Dlatego nie ubiegają się o granty, dotacje czy inne formy wsparcia.

W czasie społecznej rewolucji z końca lat 60. miasta w zachodniej Europie i północnej Ameryce zaroły się od niezależnych galerii, klubów, ale też różnych mieszkalnych eksperymentów w pustostanach. W Niemczech popularne zaczęły być komuny mieszkalne, które miały na nowo zdefiniować kwestie mieszkania, korzystania z własności i socjalizacji. Wiele z tych projektów było zainspirowanych poglądami Pierre'a Josepha Proudhona, XIX-wiecznego teoretyka anarchizmu, a w szczególności jego myślą, że „własność to kradzież”. Według Proudhona własność powinna być legitymizowana tylko poprzez pracę, co uniemożliwia akumulowanie kapitału. Dzisiejsi skłotersi odwołując się do tej zasady, zajmują pustostany i nieużytki, argumentując, że i tak nikt z nich nie korzystał, a ich obecność uchroni te miejsca od popadnięcia w całkowitą ruinę.

Po zjednoczeniu Berlin stał się centrum europejskiego skłotingu, do miejsc z długą tradycją, takich jak Georg-von-Rauch-Haus, zajęty od 1971 r. dom pielęgniarzek w dzielnicy i nazwany na cześć lewackiego bojówkarza zastrzelonego przez policję, doszły nowe, liczone w setkach. Zasiedlono dużo przestronnych mieszkań położonych tuż przy murze (po wschodniej stronie), opuszczonych przez poprzednich mieszkańców. Jednak wraz z upływem lat i odnajdywaniem się właścicieli kamienic większość z dotychczas



Zrób to sam/sama na skłocie

Skłoty to nie noclegownie. To centra kultury niezależnej, które obywają się bez instytucjonalnych dotacji. To idea, która aktywizuje młodzież i tworzy wspólnotę. I władze miast na świecie doskonale to rozumieją

nielegalnie zajmowanych budynków przekształciła się w „kolektywy mieszkalne”, płacące czynsz, ale zachowujące zasady dawnej samoorganizacji.

We Włoszech rozwój skłotów wiąże się z Autonomia Operaia, czyli ruchem autonomicznej lewicy. Powstała ona także pod koniec lat 60. XX w. jako protest przeciwko skostnieniu tradycyjnych partii lewicowych, a w szczególności partii komunistycznej. Wiele z centrów społecznych (po włosku centro sociale) założonych w tamtych czasach istnieje do dzisiaj. „Branżowy” portal Squat.net podaje, że działa ich dzisiaj we Włoszech około 350. Także popularna w północnych Włoszech sieć stacji radiowych ControRadio wywodzi się z tego ruchu, bowiem włoscy aktywiści często zakładali nielicencjonowane stacje radiowe, puszczające niekomercyjną muzykę i polityczne pogadanki.

Ostatnio we Włoszech powstają także skłoty związane z ugrupowaniami skrajnie prawniczymi, tzw. Casa Pounds (od Amerykańskiego pisarza Ezry Pounda, który w latach 20. zaczął głosić antysemickie poglądy i, zafascynowany Mussolinim, przeniósł się do Włoch).

Wszyscy chcemy

Z czasem pojawiły się procesy działające na niekorzyść skłotingu. Pierwszym z nich jest rozwój miast i – powiązana z nim – gentryfikacja biedniejszych dzielnic. Dawne fabryczki zaczęto przerabiać na luksusowe lofty, dawne centra kultury niezależnej zastąpiły podobnie wyglądające, ale działające na czyisto komercyjnych zasadach. Duńska Christiaania – dzielnica skłot – najpierw stała się schronieniem dla narkomanów i handlarzy narkotyków (których obrót szacowano na 60 mln euro rocznie), a później turystyczną atrakcją. W Holandii zaostrzono prawo dotyczące zajmowania pustostanów. Przedtem wystarczało pomieszkać 24 godziny i mieć swoje stoł, krzesło i materac, aby prawowity właściciel nie mógł pozbyc się nieproszonych gości od razu. Władze pozwalały na to, aby uniknąć spekulowania mieszkaniem, szczególnie w Amsterdamie, gdzie ceny i czynsze były wysokie, a i tak sporo lokali stało pustych. Coraz więcej budynków jest opróżnianych z dzikich lokatorów, a miejsca po nich poddawane są „rewitalizacji”.

W Europie Środkowo-Wschodniej skłoting zaistniał dopiero w latach 90., jedynie na Węgrzech w połowie lat 80. działała punkowa inicjatywa Mindent Akarunk. W czeskiej Pradze istniały dwa znaczące skłoty: Ladronka (eksmitowana po zamieszkach w 2000 r.) oraz Mi-

lada. To drugie miejsce przetrwało do 2009 r., i to tylko dzięki urzędniczemu bałaganowi. Pierwotnie skłot zajmował dwie wille w dzielnicy Holešovice, po wyburzeniu jednej z nich jakiś urzędnik wykreślił oba budynki z rejestru i dlatego przez wiele lat nie udawało się eksmitować drugiego budynku, gdyż formalnie on nie istniał.

W Polsce skłoty, które utrzymały się przez co najmniej parę miesięcy i prowadziły działalność społeczną, artystyczną czy polityczną, można policzyć na palcach obu rąk. Po 1989 r. prawo własności stało się święte, a władze miast nie garnęły się, aby udostępnić swoje budynki na tego typu inicjatywy. Także specyficzne („nieregularne” bądź „nieformalne” jak mawiają) podejście skłotersów do własności oraz używanie przez nich słów takich jak: „kolektyw”, „spółdzielnia”, „samoorganizacja”, nie przysparzają im zwolenników.

Skłoty narażone są na szykany ze strony policji oraz ataki ze strony grup neofaszystowskich. A mimo to stanowią często jedyne punkty na mapie kultury niezależnej w miastach. Najdłużej funkcjonującym – bo od 1994 r. – jest poznański Rozbrat, który stanął niedawno przed groźbą licytacji terenu, na którym się znajduje. Po zorganizowaniu dużych demonstracji sprawa chwilowo przycichła i dzisiaj, tak jak inne skłoty w Polsce, tętni on alternatywnym życiem.

Bo skłoty to nie tylko miejsce spotkań aktywistów, to także miejsca, gdzie darmowe posiłki przygotowują grupy Jedzenie zamiast Bomb (których historia zaczęła się w 1980 r.

w San Francisco), działają ekipy rowerowe, powstają skateparki, odbywają się festiwale graffiti. Czyli inicjatywy, których gdzie indziej nie ma.

Na zachodzie skłoty są centrami aktywizmu społecznego, stanowią trzon tzw. sceny, miejsca wymiany myśli pomiędzy zaangażowanymi aktywistami a tymi, którzy chcieliby się zaangażować. Przyciągają społecznych kontestatorów, anarchizującą młodzież, rozpolitykowanych studentów, którym nie w smak są kariery w partiach politycznych, awangardowych artystów. Niektóre stają się ważnymi punktami na kulturalnych i imprezowych mapach miast, zdobywając uznanie swoją niezależnością i bezkompromisowością. Niemal zawsze próby usunięcia ich lokatorów związane są z gwałtownymi protestami społecznymi – po ewikcji kopenhaskiego skłotu Ungdomhuset zamieszki trwały parę dni.

W Europie Środkowej aktywizm społeczny jest słabszy niż w innych częściach świata, brakuje więc społecznego zaplecza do powstawania skłotów. Nie ma komu odnawiać budynków, wstawiać szyb, organizować koncertów, spotkań, pogadanek, wystaw. Władze nie mają pomysłu, jak tego typu miejsca wspomagać ani jak do nich podchodzić, tym bardziej że skłotersi należą do zagorzałych krytyków miejskiej polityki. W związku z tym i skłotów jest mniej, a być może niebawem ubędzie kolejny.

Grzegorz Piotrowski jest doktorantem w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji, antropologiem działającym na pograniczu antropologii i socjologii.



Tacheles – artystyczny skłot w Berlinie (również obok)



Andy Butters/EAST NEWS

Chavs, czyli dresy bez klasy

Klasę robotniczą w Wielkiej Brytanii najpierw zniszczono reformami gospodarczymi, a potem zaczęto się z niej wyśmiewać

JULIA KUBISA

Jeśli będziecie w Londynie, polecam wycieczkę społeczno-gospodarczo-polityczną. Wystarczy wsiąść w metro i pojechać do Docklands. Tam, gdzie kiedyś w stojących w równych rzędach domach z ogródkami mieszkali robotnicy z portowych doków, dziś rozbudowuje się nowe londyńskie city. Nadrzeczne magazyny za-

mieniono w ekskluzywne lofty. W jednej chwili możemy zobaczyć przeszłość i przyszłość brytyjskiego społeczeństwa klasowego – z jednej strony resztki szeregowców, z drugiej szklane biurowce.

O tym, jak zniszczono brytyjską klasę robotniczą, a następnie zaczęto się z niej wyśmiewać, pisze Owen Jones w książce „Chavs. The demonization of the working class” (Chavs. Demonizacja klasy robotniczej).

Jones jest jeszcze przed trzydziestką, sam pochodzi z przemysłowego Stockport, pracował jako lobbysta związków zawodowych. W książce stara się wykazać, że negatywny stosunek do klasy robotniczej to powszechne tolerowane uprzedzenie. Opisuje interesujący mechanizm zastępowania kategorii klasowej estetyzacją.

Bo dziś w Wielkiej Brytanii nie używa się już pojęcia „klasa pracująca” albo rozsze-

rza się je do granic absurdu (jak mówi pewien makler z City – jestem klasą pracującą, przecież pracuję!). Natomiast klasę robotniczą, a szczególnie jej niższą część, kwituje się mianem chavs.

Prawie jak beszamel

Chavs (etymologia tego słowa nie jest jasna) to mieszkańcy osiedli komunalnych, leniwi i agresywni oraz rzecz jasna – bezrobotni. Lubią sportowe ubrania, tatuaże i podróbki kratki Burberry. W odbiorze społecznym są straszni, żałośni, tandetni, śmieszni. Nie mają gustu i nie mają porządnej pracy. Mężczyźni to agresywne obiboki, a kobiety to nastoletnie samotne matki. Jednym słowem, społeczne pijawki żyjące na koszt podatników, na dodatek niewyedukowane i rasistowskie. Jeśli jeszcze nie wiecie, o kim mowa, obejrzyjcie serial BBC „Little Britain”. Taka estetyzacja odbiera polityczny głos masom obywateli.

Ruchy społeczne, działając na rzecz praw kobiet, LGBT czy mniejszości etnicznych walczyły odpowiednie prawodawstwo i obyczaj chroniący przed dyskryminacją. W społecznym odbiorze nie istnieje jednak coś takiego jak dyskryminacja ze względu na pochodzenie klasowe. Można nazywać innych pogardliwie „chavs”, a jednocześnie oburzać się na słowa „pedał” czy „czarnuch”.

W Internecie funkcjonują witryny takie jak Chavtowns.co.uk, gdzie użytkownicy opisują najbardziej odstręczające chavowskie okolicy. Okropność tych miejsc polega na tym, że jest tam biednie i nie ma pracy. Co skłania niektórych do pisania: „Mieszkają tu mutanci w kiepskich dresach i czapeczkach baseballowych”. Osobny dział zajmuje testowanie chavowskiego jedzenia – szczególnie ujmująca jest recenzja mrożonych ziemniaków z sosem serowym, „który smakuje prawie jak beszamel”, co można chyba potraktować jako komplement ze strony wyższej warstwy.

Deklasacja na drabinie

Pisząc o demonizacji klasy robotniczej, Jones analizuje procesy, w wyniku których dumni dokerzy, górnicy i robotnicy zmienili się w społecznym odbiorze w leniwych wytatuowanych dresiarzy. Odpowiedź krąży wokół dwóch zasadniczych tematów: miejsca pracy i mieszkania.

Sektor przemysłowy i stabilne zatrudnienie zastąpione zostały sektorem usług i pracą niepewną oraz bezrobociem. Proces ten rozpoczął się za czasów Margaret Thatcher, ale kontynuowały go rządy zarówno Nowej Partii Pracy, jak i Davida Camerona. Synowie oraz córki robotników wykwalifikowanych, którzy „mieli fach w ręku”, trafili za kasę w supermarket albo fast foodzie, stając się pośmiewiskiem społeczeństwa.

Mieszkalnictwo komunalne – wielkie powojenne osiągnięcie klasy robotniczej, pozwalające robotniczym rodzinom na życie w godnych warunkach – również padło na skutek reform z lat 80. XX w. Margaret Thatcher wprowadziła możliwość wykupu mieszkań komunalnych, jednocześnie nie budując żadnych nowych osiedli. To podzieliło robotników na „posiadających” i „wynajmujących”. Tony Blair, ogłaszając, że za rządów Nowej Partii Pracy wszyscy staną się klasą średnią, w pewnym sensie zwiędził jej dzieło. Ci, którzy posiadają mieszkania (choćby nie dojadali z powodu rat kredytu), są w porządku, bo stali się właścicielami, ci w mieszkaniach komunalnych obciążają podatników.

Bycie z klasy robotniczej (która wszakże sto lat temu zbudowała Partię Pracy) stało się po prostu nie na czasie. System wartości klasy pracującej – duma z wykonywanej pracy, z fachu, z dbania o interesy wspólnoty poprzez mieszkalnictwo komunalne, darmową edukację czy ochronę zdrowia – stał się kompletnie nieadekwatny. Nowym wyznacznikiem są zasady klasy średniej – indywidualny sukces i bezustanne porównywanie siebie z innymi w wyścigu po drabinie społecznej.

Narzucając wzorzec klasy średniej, oczekuje się, by wszyscy zawsze byli gotowi „szybciej, mocniej, dalej”. Brak takiej postawy, chęć poprzestania na tym, co się ma, to brak aspiracji, czyli wręcz grzech. To samo dzieje się z działaniem kolektywnym, w związkach zawodowych – przecież nie przyczynia się do indywidualnego sukcesu, więc nie warto się nim zajmować. Dla tych, którzy z wyścigu odpadli, stworzono określenie „chavs” i w ten sposób ostatecznie rozmyto problem rzeszy ludzi, których status pogorszył się, ponieważ zabrakło dla nich sensownej pracy.

Brak pracy, brak przyszłości

Zdaniem Jonesa dzięki funkcjonowaniu wizerunku chavs Cameronowi udaje się wprowadzać kolejne cięcia w polityce społecznej, ponieważ sprawnie operuje wyobrażeniem leniwych nierobów w dresach, żyjących na koszt społeczeństwa. Jednocześnie, posługując się wizerunkiem społeczeństwa bezklasowego („nie ma społeczeństwa, są tylko ludzie i ich rodziny” – jak powiedziała Żelazna Dama), torysi są doskonałym przykładem klasowych wojowników, broniących wyłącznie swoich grupowych interesów. To oni, zdaniem Jonesa, od kilkudziesięciu lat stoją w pierwszym szeregu walki klasowej, by chronić dostęp do bogactw, czy to wysyłając na nich policję i wojsko jak Thatcher, czy po prostu marginalizując określeniem „chavs”.

Jones sprawnie rozprawia się z mitami narosłymi wokół chavs, takimi jak agresja, narastająca liczba nastoletnich cięż, lenistwo i brak aspiracji. Podaje przeczące im statystyki, cytuje raporty i wywiady, z politykami, działaczami związkowymi i mieszkańcami robotniczych osiedli. Pisze o erozji lokalnych społeczności wynikającej z braku miejsc pracy oraz o konieczności konkurencji o bardzo nietrwałe zatrudnienie z imigrantami pod ostrzałem oskarżeń o rasizm. Tymczasem – jak zauważa autor – klasa →

→ pracująca jest najbardziej zróżnicowaną etnicznie grupą w Wielkiej Brytanii, w przeciwieństwie do wyższych warstw społecznych czy londyńskiego City, które jest w przeważającej części białe.

To prawda, że dziewczęta z klasy pracującej częściej zachodzą w ciążę. Natomiast dziewczyny z klasy średniej częściej przerywają ciążę, uzasadniając to chęcią lepszego ułożenia życiowej kariery. Nastolatki z klasy robotniczej nie mają nadziei na inną karierę niż asystentki fryzjerki. Wybierają zatem „karierę matki”, także z chęci nadania swojemu życiu jakiegoś sensu, przy wsparciu brytyjskiej polityki społecznej.

Brytyjskie podziały klasowe są dość niezrozumiałe dla postronnych. Czy opierają się wyłącznie na stanie posiadania i wybranym zawodzie? A może na stylu życia? Zdaniem Jonesa raczej na poczuciu bezalternatywności, które cechuje klasę pracującą. Chavs nie mają co marzyć o idealnym życiu. W zdecydowanej większości nie będą tym, kim zapragną, tylko będą pracować tam, gdzie ich przyjmą.

Nie wszyscy brytyjscy robotnicy wykwalifikowani to oczywiście chavs. Chronicznie bezrobotnych w sportowych dresach określa się raczej mianem lumpenproletariatu czy underclass. Jednak stereotyp chavs

wykorzystuje się w polityce do demontażu sprawdzonych rozwiązań socjalnych, które służyły pokoleniom całej klasy pracującej.

Tematy do konwersacji

Polskie kanały telewizyjne pełne są programów produkowanych w UK powielających stereotyp chavs. W programie „From ladettes to ladies” (Od dresiarzy do damy – polski tytuł „Damą być”) widzimy niegrzeczne brytyjskie nastolatki, młodociane pijaczki z robotniczych dzielnic, które doznają odkupienia i moralnej odnowy dzięki sztuce kolacyjnej etykiety i misterium układania kwiatów w wazonach, czyli typowym próżniaczym rozrywkom klasy wyższej. Znad rodzowego serwisu nie pada nigdy pytanie: „Kto wywołał kryzys gospodarczy?": córki górników z zamkniętych kopalń czy pracujący w City synowie tych uroczych dam, które uczą odróżniania kieliszków do wina czerwonego i białego. W XXI w. klasy wyższe nadal pouczały klasy niższe, jak żyć i dobrze się sprawować.

Owen Jones postawił sobie za cel przywrócenie godności klasie pracującej i zaapelowanie o jej autentyczną polityczną reprezentację. Przecież – jak zauważa jeden z rozmówców Jonesa – gdyby rozwijano mieszkalnictwo komunalne, nie powstawałyby tak wielkie bańki spekulacyjne na rynku nieruchomości. Nie chodzi o to, żeby wszyscy byli klasą średnią i posiadali. Chodzi o to, żeby ludzie mieli dobrą pracę.

Owen Jones pisze również o znanym nam zjawisku przejmowania frustracji zubożałej klasy pracującej przez nacjonalistyczne organizacje. Brytyjska Partia Narodowa rekrutuje członków w robotniczych dzielnicach, za brak pracy obwiniając imigrantów. W Polsce z podobnym klimatem mamy do czynienia przy okazji 11 listopada i każdej demonstracji na rzecz praw kobiet, LGBT etc. Tak samo jak w Wielkiej Brytanii i pewnie wielu innych krajach problem braku sensownej, dobrze płatnej pracy oraz rozbudzonej przez kulturę popularną oczekiwań konsumpcyjnych sprawia, że szuka się winnego, na którego można by zrzucić swoje frustracje. Tak jak brytyjscy chavs, tak i polscy dresiarze wychodzą na ksenofobicznych buraków, którym nikt nie chce współczuć.

W Polsce brakuje takich książek dziennikarskich jak „Chavs” Jonesa, które nie dotyczą kontredansu partii politycznych i „wielkich liderów”, tylko tego, co się dzieje ze społeczeństwem. Książek, które jedni nazwą „przesadnymi”, a drugim „otworzą oczy”. Dlatego czekam na „Dresiarzy”.



Londyńskie doki, 1970 r.

CHAVS

THE DEMONIZATION OF THE WORKING CLASS

OWEN JONES

Podaruj 1% podatku

Fundacji Dzieciom „Zdażyć z Pomocą”

KRS 00000 37904



1%

organizacja
pożytku publicznego
opp

- Obejmujemy opieką ponad **16 000 dzieci** z całego kraju.
- Rocznie refundujemy ponad **400 000 faktur i rachunków** za usługi lecznicze, rehabilitację, zakup sprzętu medycznego i lekarstw.
- Pomagamy rodzicom przy organizacji zbiórek publicznych, imprez i koncertów charytatywnych na rzecz podopiecznych.
- Uruchomiliśmy **Ośrodek Rehabilitacji AMICUS**, w którym podopieczni korzystają z bezpłatnej rehabilitacji.
- Budujemy nowy ośrodek wraz z hostelem, by jak najwięcej dzieci otrzymało pomoc.

**POMÓŻ
NAM POMAGAĆ**

Podaruj **1%** podatku

KRS **00000 37904**

Zbyt arabscy Żydzi

Strzały w Tuluzie wbijają klin pomiędzy dwie społeczności imigrantów z Maghrebu: Żydów i Arabów, budząc demony kolonialnej przeszłości

ALEKSANDRA BILEWICZ

Zabójstwo trojga dzieci i jednego nauczyciela w ortodoksyjnej szkole żydowskiej w Tuluzie wstrząsnęło Francją i całym światem. Do zbrodni przyczynił się 23-letni Francuz pochodzenia algierskiego, który przed śmiercią opowiedział o swoich związkach z fundamentalistycznymi organizacjami terrorystycznymi w Afganistanie oraz Pakistanie.

Żydzi europejscy znów poczuć się, przynajmniej na pewien czas, bardziej zagrożeni. Konsekwencje tego czynu wydają się jednak bardziej dalekosiężne. Przepaść między Żydami a Arabami pogłębi się, nastroje antyimigranckie w Europie prawdopodobnie wzrosną, tak jak szanse francuskiej prawicy w nadchodzących wyborach prezydenckich. Na razie zarówno politycy, jak i organizacje żydowskie oraz muzułmańskie jednym głosem przestrzegają przed obwinianiem muzułmańskiej społeczności o zamach. Prezydent Nicolas Sarkozy deklaruje, że terroryzm nie zniszczy francuskiej wspólnoty narodowej, a ta we Francji przebiega ponad podziałami etnicznymi i wyznaniowymi.

- Francuzi są przede wszystkim porażeni faktem, że zabija się ich dzieci - mówi dr Izabela Wagner, socjolożka z Uniwersytetu Warszawskiego, która obroniła doktorat na Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu. - Etniczność czy wyznanie ofiar ma dla nich drugorzędne znaczenie.

Inni Żydzi

W relacjach żydowsko-muzułmańskich we Francji czynniki te mają jednak znaczenie podstawowe, a są one mocno powiązane z kolonialną przeszłością kraju. 70 proc. populacji Żydów francuskich to Żydzi z północnej Afryki i Bliskiego Wschodu, którzy masowo emigrowali do Francji po odzyskaniu niepodległości przez kraje Maghrebu. Żydzi aszkenazyjscy (wschodnioeuropejscy, którzy dominują w innych krajach europejskich i w Stanach Zjednoczonych) stanowią mniejszość. Uczniami i nauczycielami szkoły Ozar ha Torah w Tuluzie, którą zamachowiec obrał

za cel swojej zbrodni, byli w większości właśnie Żydzi sefardyjscy.

Nazwa „Sefardyjscy” (po hebrajsku „Hiszpanie”) wywodzi się od określenia hiszpańskich Żydów, w 1492 r. wygnanych przez królów katolickich - Ferdynanda i Izabelę - którzy rozproszyli się po krainach Basenu Morza Śródziemnego, należących wówczas w większości do imperium osmańskiego. Tam dołączyli do miejscowych żydowskich społeczności. Przez wieki życia w społecznościach muzułmańskich Żydzi z tej grupy - zwani też po hebrajsku mizrachim, czyli wschodni - nasiąkli islamską kulturą, przejęli wiele wierzeń, obyczajów, a także elementów kultury materialnej.

Ich pokojowa współegzystencja ze społecznością muzułmańską skończyła się po powstaniu Państwa Izrael w 1948 r. Ponieważ

w drugiej połowie XX w. w wielu krajach arabskich prześladowano żydowskie społeczności, Państwo Izrael intensywnie zachęcało do imigracji „orientalnych” Żydów, masowo transportując ich drogą powietrzną do nowej ojczyzny.

Drugą przyczyną rozpadu żydowskich społeczności w krajach muzułmańskich stała się dekolonizacja. W latach 60., po wyzwoleniu Algierii, Egiptu, Maroka i Tunezji, do Francji przybyło około 300 tys. żydowskich imigrantów.

Kolonialne dziedzictwo

Kiedy Francuzi dokonali podboju Algierii w 1830 r., zastali dużą i prosperującą społeczność żydowską, która - jak w całym świecie muzułmańskim - posiadała status „dhimmi”, czyli chronionej, ale pozbawionej niektórych

praw mniejszości. Zasymlowani, wychowani w oświeceniowej tradycji Żydzi francuscy postanowili zanieść do uznanej za zacofaną społeczności sefardyjczyków kaganek oświaty i modernizacji.

Wybitny francuski prawnik i mąż stanu Adolphe Crémieux założył w 1860 r. organizację Alliance Israélite Universelle. Ruszyła ona z „misją cywilizacyjną” do krajów Maghrebu i Bliskiego Wschodu, zakładając szkoły, w których wdrażano orientalnych Żydów we francuskie język i kulturę. Szczególną uwagę Crémieux poświęcił Żydom algierskim. Już jako minister sprawiedliwości wydał tzw. Dekret Crémieux, który gwarantował im obywatelstwo francuskie. W ten sposób zostali oni związani z Francją nie tylko kulturowo (poprzez asymilacyjną edukację), ale również prawnie, dzięki czemu kraj zyskał w kolonii pokątną grupę lojalnych obywateli.

Działania Francuzów przyczyniły się jednak do alienacji algierskich Żydów z reszty społeczeństwa. Zaczęli być postrzegani przez muzułmanów jako kolonialni kolaboranci, dochodziło do pogromów. Uzyskawszy nowe prawa, sefardyjscy musieli się więc zmierzyć z nowym problemem - falą antysemityzmu ze strony współobywateli, podsycaną

także przez przybyłych z Europy osadników francuskich. Hannah Arendt w eseju dotyczącym Dekretu Crémieux pisała, że „francuscy koloniści byli główną przyczyną antysemityzmu w Algierii”.

Konsekwencje tej polityki sięgają wojny o niepodległość Algierii, która rozpoczęła się w 1954 r. Chociaż wielu Żydów, głównie komunistów i socjalistów, zaangażowało się po stronie algierskich partyzantów, dochodziło do ulicznych mordów na Żydach postrzeganych jako sojusznicy Francji. Wielka synagoga w Algierze została zbezczeszczone. Algierski Front Wyzwolenia Narodowego zażądał od społeczności żydowskiej opowiedzenia się po jednej ze stron.

Wraz z uzyskaniem niepodległości w 1962 r. 140 tys. algierskich Żydów, prawie cała społeczność, wyemigrowało do Francji. Wroga atmosfera wobec tych, którzy pozostali, niszczenie synagog i żydowskich cmentarzy przyczyniły się do dalszej emigracji - i tak algierska społeczność żydowska praktycznie przestała istnieć.

Czarne Pantery Izraela

Dziś we Francji sefardyjscy Żydzi są często postrzegani jako członkowie wspólnoty pieds noirs - „czarnych stóp”, czyli potomków dawnych francuskich kolonistów w Maghrebie. Jak mówi Izabela Wagner, pieds noirs są nienawidzeni przez ludność arabską, sami też często odczuwają wobec niej wrogość. Wagner dodaje, że do wrogości Żydów wobec ludności muzułmańskiej przyczyniły się zamachy, jak ten z 1980 r. na paryską synagogę, czy z 1982 r. na restaurację Goldberg w Paryżu, dokonany przez terrorystów powiązanych z Fatahem.

W Izraelu Żydzi pochodzący z krajów muzułmańskich przez lata byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii z powodu ciemnego odcienia skóry, języka, którym się posługiwali (najczęściej arabski lub judeoarabski), czy odmiennych obyczajów. W latach 50. i 60. byli tanią siłą roboczą, osiedlano ich w ciężkich warunkach w oddalonych ośrodkach na pustyni (wcześniej nieraz długo przetrzymując w obozach dla uchodźców), opłacano o wiele gorzej od aszkenazyjczyków, często umieszczano w osobnych szkołach, przezywano „czarnymi”.

Część lewicowo i buntowniczo nastawionych sefardyjczyków założyła w 1971 r. partię Izraelskich Czarnych Panther, która domagała się równych praw dla sefardyjczyków i Palestyńczyków. Jednak ruch nie cieszył się dużą popularnością, a większość „Żydów

orientalnych” zwróciła się ku konserwatywnej prawicy, głosując na Likud. Poza kręgiem lewicy sefardyjscy rzadko szukali sojuszników wśród bliskich im kulturowo Palestyńczyków.

Jak pisze w eseju „Refleksje arabskiej Żydówki” Ella Shohat, profesorka kulturoznawstwa na uniwersytecie w Nowym Jorku, sefardyjscy Żydzi w Izraelu zostali wykorzenieni z arabskiej kultury, która była dla nich naturalnym punktem odniesienia. Określenie „Żyd arabski”, niegdyś naturalne, stało się według Shohat oksymoronem.

Historycznie uzasadnione poczucie upokorzenia i dyskryminacji wciąż towarzyszy wielu członkom społeczności sefardyjczyków, nie tylko w Izraelu. Znajdują się w paradoksalnej sytuacji: traktowani z wyższością za swoją arabskość, zniechęceni jako Żydzi.

Wybory po traumie

Dziś wielu francuskich polityków, na przykład kandydatka na urząd prezydencki Marine Le Pen z Francuskiego Frontu Narodowego, stara się wykorzystać zbrodnię w Tuluzie do wzmocnienia antyimigranckich nastrojów we Francji. Ale - jak pokazują badania prof. Andreasa Zicka z Uniwersytetu w Bielefeld - niechęć do imigrantów w tym kraju jest na razie mniej powszechna aniżeli w innych krajach Europy.

Trudno przewidywać, jak po tragedii w Tuluzie zagłosują sefardyjscy Żydzi, którzy we Francji - kraju, który chciał ich zasymlować i zmodernizować - również nie mogą czuć się bezpiecznie. Izraelsko-palestyński konflikt stanowi obecnie oś wrogości między Żydami i muzułmanami, jednak we Francji relacje te ukształtowała w dużej mierze historia kolonializmu, która przyczyniła się do stworzenia przepaści między społecznościami wywodzącymi się z tego samego kręgu kulturowego.

Mohammed Merah, który przyznał się do morderstwa na uczniach i nauczycielu w Tuluzie, twierdził, że mści się na Żydach za prześladowanie Palestyńczyków. Przyznał się jednak także do zastrzelenia trzech żołnierzy, w tym dwóch, jak on, północnoafrykańskiego pochodzenia, którzy niedawno wrócili z Afganistanu.

Jego nienawiść skierowana była zatem nie tylko przeciwko Żydom, ale także przeciwko zagranicznym interwencjom Francji, które mogą być dziś postrzegane jako kontynuacja kolonialnej polityki w świecie muzułmańskim.



Francuska Żydówka Armel Touboul na grobie swojego dziadka w algierskim Tilimsan

Wiosna arabska, wiosna walencka

Czy wspólnym doświadczeniem młodych ludzi Południa i Północy stanie się protestowanie? Czy mają wspólne interesy? A może wspólnych wrogów?

AGATA MŁODAWSKA

Nie da się ukryć, że Maroko jest fotogeniczne. Na pierwszym zdjęciu kolorowe chusty i wielkie dziecięce oczy ładnie kontrastują z wysypiskiem śmieci. Następna fotografia przedstawia znak stop z arabskimi literami na tle łuków McDonald's w tle. Całość wieńczy olbrzymi talerz tādżinu; jeszcze tylko zdjęcie tkanin z suku oraz krętych uliczek zrobione w sepii i można rozpocząć ładowanie zdjęć na Facebooka.

Komentarz narzuca się sam: inny świat. Maroko można pokochać, ale nie można jego mieszkańców zrozumieć, bo ich umysł jest pokrętny niczym malownicze wąskie uliczki, a zmysłowość podobna do orientalnych przypraw zastępuje logikę. Urodzeni miłośnicy króla i futbolu uliczny handel oraz posłuszeństwo mają we krwi. Czasem tylko niektórzy drobni sprzedawcy na znak protestu się podpalają, zakłócając sielankę i zmniejszając obroty z turystyki. W końcu nie po to się jedzie na wakacje, żeby zobaczyć, jak ktoś w centrum miasta płonie.

Szare życie w krainie kolorów

Gdyby jednak zapytać marokańskich sprzedawców o opinię, to można by usłyszeć nieco inną opowieść: „Czasem zarobisz 20 dirhamów (około dwóch euro), czasami 200, a czasami nic. Gdybym mógł dostać inną pracę, to nie sprzedawałbym warzyw” – wyjaśnia Abdelfatah, drobny handlarz, bohater filmu dokumentalnego, którego premiera miała miejsce 20 lutego tego roku, z okazji pierwszej rocznicy protestów w Maroku.

Film nosi tytuł „My Makhzen and Me”. Oficjalnie Makhzen – czyli marokańska elita



Protesty przeciwko polityce władz: w lutym 2011 r. w Rabacie i dokładnie rok później w Walencji (obok)

skupiona wokół króla złożona z notabli, biznesmenów, właścicieli ziemskich, przywódców plemiennych, wysokich rangą wojskowych i szefów służb specjalnych – rozumie i wspiera protestujących. Reżyser Nadir Boumouh postanowił jednak oddać głos protestującym w centrum Rabatu „ateistom i fundamentalistom” (według oficjalnej medialnej wersji), którzy mieszkają w „krainie kolorów” (oficjalny slogan Ministerstwa Turystyki), będącej afrykańskim tygrysem, narzekają.

20 lutego 2011 r. Marokańczycy wyszli na ulice, po raz pierwszy wznosząc hasła dotyczące wolności słowa i praw człowieka. Protestowali przeciw wszechobecnej korupcji, nędzy przedmieść, brakowi perspektyw, przemocy państwowych służb. Na amatorских nagraniach widać, jak tłum policjantów naciera na demonstrujących. Nocą wciąż było słyhać syreny policyjnych wozów.

Król w końcu z ekranów telewizyjnych zapowiedział zmiany w konstytucji, które

następnie miały być zatwierdzone w referendum. Nie zadowolilo to jednak demonstrujących: nową konstytucję powinno stworzyć zgromadzenie wybrane przez naród. Tymczasem władca podyktował cały tekst konstytucji. Gdzie tu demokracja? I skąd się wzięło 98 proc. poparcia dla konstytucji, w której słowo „naród” pojawia się raz, a „król” – 68 razy? Protesty nie ustawały.

Władza w odpowiedzi zorganizowała „spontaniczne” manifestacje płatnych najemników (nazywanych baltadżiją) z ubogich dzielnic, którzy za 10 euro dziennie krzyczą prokrólewskie hasła konsultowane z policjantami. „Mówcie w waszym własnym imieniu, bo jesteście najgorsi z najgorszych. Niech żyje król Mohamed VII” – krzyczy do kamer telewizyjnych jeden z kontrdemonstrantów.

W międzyczasie uczestnikami Ruchu 20 Lutego zajmuje się policja, która biciem, aresztowaniami i pogrózkami usiłuje zastraszyć protestujących. Niektórych ucisza skutecznie – Karim Chaib, jeden z uczestników



Jose Jordan / AFP/EAST NEWS

manifestacji, zostaje pobity na śmierć. To jednak za mało, żeby zainteresować międzynarodową opinię publiczną, a za dużo, by przekonać przestraszone perspektywą pobicia i tortur społeczeństwo, które działacze Ruchu 20 Lutego próbują zaktywizować. – Ruch jest środkiem do celu – mówi jeden z jego uczestników. – Nie jesteśmy partią polityczną, chcemy, żeby ludzie zaczęli się sami organizować i bronić. Trudno jednak przełamać opór spowodowany po części (jak twierdzą protestujący) brakiem wykształcenia. Abdelfatah, uliczny sprzedawca, zapytany o Ruch 20 Lutego nie bardzo chce odpowiadać. „Nie zaprzętałem sobie głowy tymi rzeczami (Ruchem 20 Lutego)”. „Ta konstytucja... to ja nie rozumiem”. Pomiędzy Nadir Boumouh jest optymistą. – Zmiana już się dokonuje – mówi i jako przykład podaje działające w ruchu młode kobiety, które po raz pierwszy w historii Maroka razem z mężczyznami stanęły na czele ruchu społecznego.

Przebudzenie

Marokańskie demonstracje są mało atrakcyjne medialnie w porównaniu do protestów z Tunezji i Egiptu, gdzie – według doniesień medialnych – Twitter z Facebookiem przyjechały zrobić rewolucję i wykorzystały do tego miejscową młodzież. Demonstrujący od lat związkowcy byli mniej estetyczni, więc nie stety nie zmieścili się w kadrze. W efekcie powstał całkiem ładny medialny obrazek: północno-afrykańscy młodzi wykształceni z dużych miast protestują, bo chcą kupować produkty tych samych marek i żyć tak samo jak ich rówieśnicy na Zachodzie. Czyli jak?

Czy na przykład tak, jak w hiszpańskiej Walencji, gdzie licealiści i uczniowie wyszli na ulice w lutym tego roku (a więc rok po Maroku), by zaprotestować przeciwko cięciom w edukacji publicznej? I zostali brutalnie pobici przez policję podczas demonstracji, nazywanych #PrimaveraValenciana (wiosna walencka)? Gdzie pomimo to szef policji nie został zdymisjonowany, a na pytania o liczbę

agentów infiltrujących szeregi protestujących odpowiada: „Nie mogę zdradzać wrogowi, jakie są moje siły”? Czy mamy rozumieć, że uczniowie i studenci to wrogowie tnącego koszty państwa, których zwalczać należy tak samo jak marokańskich „ateistów i fundamentalistów”?

Być może okaże się, że cięcia w dziedzinie swobód demokratycznych będą coraz bardziej popularną metodą walki z protestami przeciwko cięciom w budżecie. W takiej sytuacji to niestabilność (zwana coraz częściej przekaryzacją) i naruszenia praw człowieka (a nie noszenie ubrań tych samych marek) będą wspólnym doświadczeniem młodych w zglobalizowanej rzeczywistości.

Film „My Makhzen & Me” jest dostępny na YouTube (<http://www.youtube.com/watch?v=8d4TOA3Q93g>) oraz na Vimeo (<http://vimeo.com/36997532>).

Agata Młodawska jest współzałożycielką i redaktorką portalu Nowe Peryferie (www.nowe-peryferie.pl) oraz stałą współpracowniczką magazynu „Nowy Obywatel”.



Waluta własnej roboty

BARTŁOMIEJ KOZEK

Pograżona w kryzysie Grecja, jak donosi BBC, odkrywa zalety lokalnej ekonomii. Zmagające się z cięciami płac i świadczeń społecznych Greczynki i Grecy organizują wymianę barterową markowych ubrań. Popularnością cieszą się banki czasu, w których bez pieniędzy wymienia się swoimi zdolnościami. Lekcje angielskiego w zamian za wizytę u fryzjerki? Skoszenie trawnika w zamian za opiekę nad dziećmi? Nic prostszego.

Podobne formy aktywności ekonomicznej wyraastały oddolnie praktycznie zawsze, gdy w pobliżu wybuchały kryzysy gospodarcze. Najbardziej zorganizowaną formą dbania o pozostawanie lokalnych społeczności w dobrym stanie ekonomicznym były lokalne waluty. W ostatnich latach pomagały w wydzwignięciu się bankrutującej Argentyny i po dziś dzień działają w miastach na całym świecie. Jednym z najnowszych przykładów – funtem bristolskim – można już nawet płacić część lokalnych podatków. Co więcej, poza papierowymi banknotami waluta ta – wymienialna w stosunku 1:1 z funtem szterlingiem – stosowana jest również w rozliczeniach elektronicznych.

Na początku był chaos

Po co zaprzętać sobie głowę kolejnym pieniądzem, który honorowany jest jedynie na niewielkim obszarze, rzadko kiedy wykraczającym poza miasto czy gminę? Idea stojąca za nim jest prosta – globalne waluty, będące obiektami ataków spekulacyjnych, potrafią w ich wyniku zmienić kursy tak znacząco, że z dnia na dzień do tej pory opłacalna produkcja zaczyna przynosić straty. Lokalna waluta pozwala na obejście tego i jeszcze jednego problemu – wycieknięcia pieniędzy z lokalnej gospodarki. Globalne koncerty płacą lokalnym samorządom niewiele lub zgoła nic za obecność na lokalnym rynku. Jednocześnie ich działalność na różny sposób – tak pozytywny (miejsca pracy), jak i negatywny (wycinanie mniszek, lokalnej konkurencji) – wpływa na jakość życia w bezpośrednim otoczeniu.

Znaczenie alternatywnego systemu monetarnego po raz pierwszy można było zaobserwować przy poprzednim wielkim kryzysie ekonomicznym – tym z lat 30. XX w. Jego reperkusje odczuwalne były na całym świecie – także w au-

Lokalne waluty pozwalają uniknąć spekulacji i integrują społeczność, więc stają się remedium na kryzys



„Nikt nie może mieć więcej niż 20 tys. talentów, to zapobiega nadmiernym dysproporcjom. Osoby w trudnej sytuacji mogą dać innym swój czas

striackim miasteczku Woergl. Zdecydowano się tam na eksperyment. Lokalne władze, zabezpieczając na ten cel 12 tys. szylingów, zdecydowały się zachęcić mieszkanki i mieszkańców miejscowości do wymiany austriackiej waluty na specjalne bilety, honorowane przez sklepy w miasteczku.

W odróżnieniu od szylingów miały one jedną ważną cechę – objęte były negatywną stopą procentową. Oznaczało to, że – w przeciwieństwie do tradycyjnego pieniądza, który zyskuje na wartości na lokatach bankowych – bilety w Woergl traciły na wartości wraz z upływem czasu. Zachęcało to do ich wykorzystywania, co podtrzymywało cyrkulację pieniądza w lokalnej gospodarce i tym samym zapewniało stały popyt produkowanym towarom. Sytuacja gospodarcza w miasteczku zaczęła się poprawiać, ludzie wracali do pracy. Interwencja austriac-

kiego banku centralnego położyła kres temu eksperymentowi. Wraz z nim sytuacja w Woergl wróciła do normy – o ile normą można nazwać wysokie wskaźniki bezrobocia – w Austrii i nie tylko.

Dobre praktyki

Eksperyment ten po dziś dzień inspirował społeczności lokalne na całym świecie. Przykładów podobnych – dostosowanych do współczesnych realiów działań – dostarcza publikacja krakowskiej Zielonej Inicjatywy Gospodarczej. W „Międzysektorowej współpracy na rzecz lokalnego ekorozwoju – dobrych praktykach” Gernot Jochum Mueller prezentuje renesans idei w Austrii, a konkretniej w Voralbergu. Tamtejszy – istniejący od 1996 r. – „krąg wymiany” „drugiego pieniądza” (ZwEITGeld) tworzy ponad 1500 prywatnych użytkowników oraz 150 przedsiębiorstw.

Składa się on z dwóch filarów. Pierwszy z nich tworzą bony, które otrzymuje się w zamian za euro. Służą one do płacenia w lokalnych sklepach i punktach usługowych, takich jak fryzjer czy kawiarnia. Drugim są talenty, które pozwalają na przeliczanie kwot w nich wyrażonych na godziny do wykorzystania w lokalnym banku czasu – 100 talentów przeliczanych jest na jedną godzinę. Świadczone nieodpłatnie usługi osób należących do kręgu wymiany ogłaszane są na specjalnej stronie internetowej, ale też w lokalnej prasie i na placu handlowym.

Ponowna wymiana bonów, na których zapisana jest ich wartość zarówno w euro, jak i w talentach, z powrotem na euro obarczona jest 10-procentową opłatą manipulacyjną. Tak szeroko zakrojony projekt pozwala nie tylko na zachowanie cyrkulacji pieniądza w obrębie lokalnej społeczności, ale również na wzajemne jej poznawanie się i korzystanie z umiejętności osób uczestniczących w kręgach wymiany.

Na solidarnościowy wymiar tego typu projektów zwraca uwagę Agnes Gyorffy, ekonomistka z Uniwersytetu Węgier Zachodnich. – Podział sfery publicznej na świat idei, prawa i ekonomii pozwala podzielić między nimi wartości rewolucji francuskiej – wolność, równość i braterstwo, przynależące kolejno do wymienionych już sfer. Systemy samopomocowe, wpisujące się w koncepcję braterstwa w ekonomii, działają najbardziej skutecznie w grupie 100–200 osób, umożliwiającą sprawną wymianę informacji

na temat umiejętności i potrzeb osób uczestniczących. Różne kraje różnie podchodzą do kwestii opodatkowania tego typu inicjatyw – na przykład Nowa Zelandia zwalnia je z podatku, podczas gdy w Niemczech są opodatkowane – opowiadała na Letniej Akademii Ekopolitycznej organizowanej pod Budapesztem.

Podobny do austriackiego system talentów, realizujący w praktyce założenia opisane przez Gyorffy, powstał także na Węgrzech. Jego twórca, Gyorgy Zsombok, wykładowca na budapeszteńskim Uniwersytecie Technologicznym i Ekonomii, relacjonował uczestnikom i uczestnikom akademii: – Nikt nie może mieć więcej niż 20 tys. talentów, to zapobiega nadmiernym dysproporcjom. Osoby w trudnej sytuacji ekonomicznej mogą dać innym swój czas, np. ucząc języka obcego czy pomagając w zakupach. Do działania takiego systemu potrzeba odpowiednio dużej liczby ludzi – po 14 latach udało nam się stworzyć samodzielnie podtrzymujący się system wymiany między 240 osobami. Nasz ruch dysponuje nawet własnym dwutygodnikiem, informującym o jego działaniach.

Myśl globalnie, działaj lokalnie

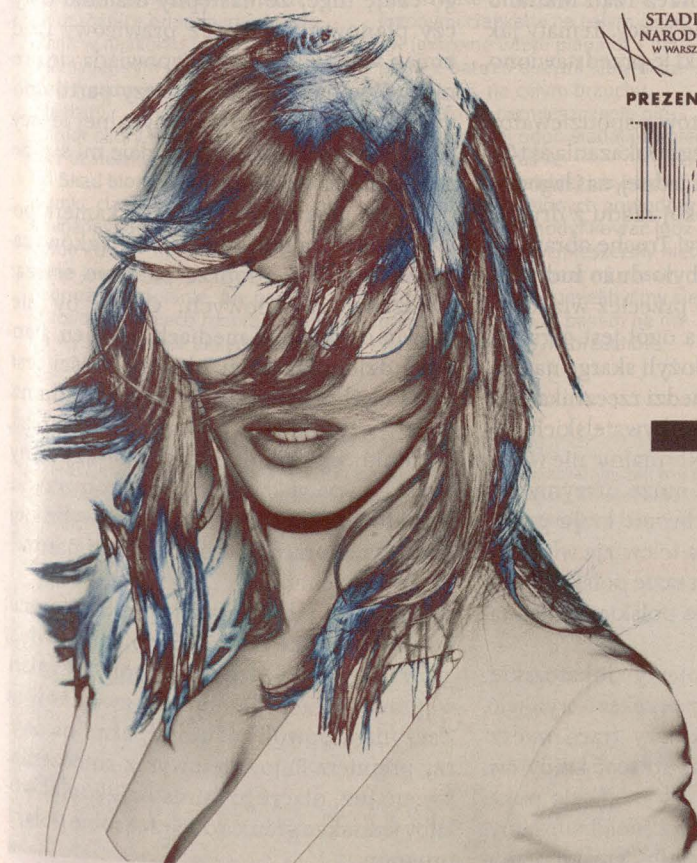
Lokalną walutą nie sposób spekulować ani jej gromadzić. Bardzo często – szczególnie w nowszych wcieleniach – łączy się ją z bankami czasu, co integruje lokalne społeczności. Szczegółowy sposób działania systemu opracowuje korzystająca z niego grupa, nie zaś działające oddolnie instytucje. Nie jest możliwe jego funkcjonowanie w oderwaniu od przyświecających mu wartości – solidarności i współdziałania.

A jednak lokalne waluty nie są przeznaczone do rozwiązywania wszystkich problemów trapiących ludzkość (nie aspirują też do tego). Nie zastąpią one reformy globalnego systemu walutowego i finansowego, ograniczającej spekulacje. Nie pomogą w demokratyzacji instytucji finansowych, w tym banków centralnych. Nie będą również w stanie wyrugować globalnych korporacji z lokalnych rynków ani też bezpośrednio wpłynąć na porozumienia handlowe, przepisy podatkowe czy warunki pracy – czy to w zakładach z najbliższej okolicy, czy też tych położonych na drugim końcu planety.

Z pewnością zwiększając poziom zaufania wśród osób uczestniczących w przedsięwzięciu – bez niego jest ono skazane na klęskę. Zwiększają również konsumentską świadomość, zachęcając do korzystania z lokalnych towarów i usług. Są one również uważane za dobre narzędzie służące ekologicznej transformacji ekonomicznej – wspieranie lokalnej działalności gospodarczej zmniejsza chociażby emisję gazów cieplarnianych, wyprodukowanych w wyniku transportowania produktów.

Można więc uznać lokalne waluty za narzędzie wspierające zrównoważony rozwój. W polskich warunkach, gdzie doświadczenia przesiedleń doprowadziły do zerwania wielowiekowych więzi tożsamościowych, lokalne inicjatywy ekonomiczne tego typu mogą być dobrym uzupełnieniem czy alternatywą dla budowania tożsamości jedynie w oparciu o historię. Nie musimy znajdować się w sytuacji Grecji, by na własnej skórze przekonać się o korzyściach z eksperymentowania z lokalnymi systemami wymiany towarowo-pieniężnej.

REKLAMA



STADION
NARODOWY
W WARSZAWIE
PREZENTUJE

MADONNA

1.08.2012
STADION NARODOWY
W WARSZAWIE

W SPRZEDAŻY

BILETY: EVENTIM.PL I LIVENATION.PL

NOWY ALBUM **“MDNA”** W SKLEPACH
OD 26 MARCA

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
WWW.MADONNA.COM
WWW.LIVENATION.PL



PRODUKCJA LIVE NATION



Hotelowe koszmary



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu
jest socjologiem

Doskonale rozumiem oburzenie ministra Radosława Sikorskiego, którego zaskoczył niedawno fakt, że w berlińskim hotelu nie znalazł w telewizorze żadnego polskiego programu. Gdybym był ministrem w rządzie Donalda Tuska, też bym nie chciał być narażony na oglądanie cudzoziemskich programów informacyjnych. Można się z nich czasem dowiedzieć okropnych rzeczy.

Można trafić na program o zmianach klimatycznych i dowiedzieć się, że ich negatywne skutki – tornada, powodzie, susze – nie zatrzymają się, jakby co, na polskich granicach. Można trafić na debatę o tym, czy polityka zaciskania pasa rzeczywiście jest dobrym sposobem na kryzys zadłużenia (Już mniejsza o zaciskanie pasa, ale żeby w kwestiach gospodarczych telewizja prezentowała więcej niż jedno zdanie? Nie słychać!). Można obejrzeć relacje z masowych protestów społecznych przeciwko decyzjom, które w Polsce wywołują najwyższe niezadowolenie. I jak tu potem, z takimi obrazami w głowie, rządzić Polską?

Lepiej szybko przerzucić się na jakiś polski program, aby w spokoju i z czystym sumieniem wykonywać swoją robotę ministra. Domaganie się polskiego programu w hotelowej telewizji może się wydawać

egoistyczne, ale tylko na pierwszy rzut oka. Przecież Radosław Sikorski nie jest jedynym polskim ministrem, który jeździ za granicę. Pozostałym członkom rządu też przyda się nieprzerwany dostęp do informacji, które pozwalają w spokoju rządzić Polską.

O tym, że nawet nie będąc ministrem, można przeżyć w kontakcie z zagraniczną telewizją szok kulturowy, przekonałem się kilka tygodni temu w Hiszpanii. Całe szczęście, że nie znam hiszpańskiego i programy informacyjne rozumiem piąte przez dziesiąte. To, co zobaczyłem, w zupełności jednak wystarczyło.

W jednym dzienniku telewizyjnym poruszone były aż trzy ciężkie tematy: demonstracje studentów w Walencji, protesty lokatorów i planowane przez rząd Mariano Rajoya zmiany w prawie pracy. Tematy jak tematy, ale sposób, w jaki je przedstawiono, budził zgrozę.

Demonstracje studentów – spodziewałby się człowiek bezstronnego pokazania aktów wandalizmu i anarchii z jednej, zaś łagodzącego i dbającego o spokój rządu z drugiej strony. Nic z tych rzeczy! Trochę obrazków z demonstracji (widać było dużo ludzi, co jest nieobiektywne, bo przecież wiadomo, że niezadowolonych na ogół jest garstka). Informacja o tym, że złożyli skargę na brutalność policji. Wypowiedzi rzecznika policji oraz rzecznika praw obywatelskich, do którego trafiła skarga. Normalnie nie wiem, jak hiszpańska policja może utrzymywać porządek na ulicach i bronić kraju przed anarchią, kiedy krajowa telewizja wbija jej nóż w plecy. W każdym razie polska telewizja nigdy by nie zrobiła polskiej policji takiego świństwa.

Drugi materiał: protesty lokatorskie. Z tego, co udało mi się z przekazu wyłowić, protestowali ludzie, którzy tracą mieszkania, bo nie są w stanie spłacać kredytów. Uff, można pomyśleć, jak telewizja pokaże tych roszczeniowców z ich absurdalnymi pretensjami, to normalni, ciężko pracu-

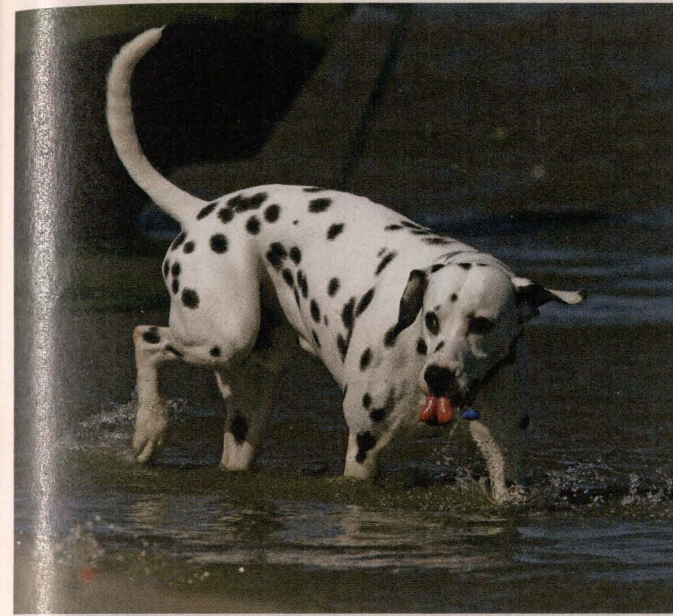
jący ludzie się na nich oburzają i zapominają, że jeszcze pięć minut temu czuli sympatię do demonstrujących studentów. Tyle że telewizja pokazała uczestników protestów jako normalnych, ciężko pracujących ludzi. W Hiszpanii brakuje mieszkań dla młodych, ale po bańce na rynku nieruchomości dziesiątki tysięcy mieszkań stoi pustych. Ktoś może zacząć się zastanawiać. Gdyby brakowało mieszkań, których nie ma, wystarczyłoby zbudować ich więcej. Ale jak może brakować mieszkań, które są? I co się z takim brakiem robi?

Już wiem, że z takimi pytaniami trudno mi będzie zasnąć, a przecież włączyłem sobie hiszpański dziennik tylko po to, żeby coś mi szemrało do ucha na dobranoc. Dlatego czuję ulgę, że następny materiał dotyczy planowanych przez prawicowy rząd zmian w prawie pracy. Wypowiada się premier. Wypowiadają się liderzy partii opozycyjnych: socjalistów i radykalnej lewicy. Nie wiem, co mówią, ale wydaje mi się, że mówią z zaangażowaniem.

Pora na głos eksperta. Przed kamerą pojawia się... przedstawiciel związków zawodowych. Tak, dobrze państwo słyszą: związków zawodowych. Czego by nie mówić o polskich mediach, pewien standard dziennikarskiej obiektywności jest tu na ogół przestrzegany. Bez względu na temat – czy chodzi o politykę gospodarczą, o łobki, edukację, energetykę czy inny temat – wypowiada się ktoś ze strony rządowej, ktoś z opozycji oraz ekspert wybranej organizacji pracodawców. Tak jest naturalnie i po bożemu.

Widziałem taki scenariusz setki, a może i tysiące razy. Ze zdumieniem patrzę więc, jak w hiszpańskiej telewizji pomysły zmian w prawie pracy komentują związkowcy. Zaczynam powoli rozumieć, skąd na twarzy premiera Rajoya ten wyraz zmęczenia. I wiem już, dlaczego minister Sikorski wołałby jednak za granicą obejrzeć sobie polski program.

TEŻ PYTANIE



Dominik Sadowski/AG

1. Dlaczego zwierzęta mogą być łacie, a ludzie nie?

My, ssaki, zazwyczaj mamy jakieś łaty. U ludzi nie są one oczywiście takie same jak u psów czy krów, niemniej nasza skóra nie jest równomiernie wybarwiona. U osób z małą ilością pigmentu pojawiają się piegi, ciemniejsza jest skóra pleców, okolic narządów płciowych, brodawek czy pach. Za te różnice odpowiada wytwarzana w naskórku melanina. Im jej jest mniej, tym skóra jest bardziej biała (całkowity brak wywołuje albinizm).

Kolor skóry krowy czy psa również uzależniony jest od melaniny. Skąd biorą się te piękne łatki, plamki, ciapki czy smugi? Za to odpowiadają geny. Do końca nie wiadomo które – np. nie zlokalizowano jeszcze genu odpowiedzialnego za nakrapianie. Ale psie łatki zostały już nieco rozpracowane. Za występowanie białych odpowia-

dają allele (czyli – ogólnie mówiąc – wersje genu) z serii locus S. Podstawowe oznaczenia owych alleli to S (self color) – pies o jednolitym kolorze, si (irish spotting) – osobnik z białymi skarpetkami, końcem ogona, kufą albo plamą lub paskiem na czole, sP (piebald) – zwierzę srokate z nierównomiernie rozłożonymi ciapkami na całym ciele, sw (extreme white piebald) – przypadki z bardzo dużymi białymi plamami, np. na całym brzuchu. Za strefowe rozmieszczenie pigmentu (koloru) odpowiadają z kolei allele z serii locus A.

Być może w dalekiej przyszłości, z jakichś uzasadnionych powodów, naukowcy będą modyfikować ludzkie geny tak, by rozmieszczały nierównomiernie pigment na naszej skórze. Czy jednak umielibyśmy się pogodzić z czarnym pasem na nosie albo rudą łatą na brzuchu?



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA

2. Jak to się dzieje, że kiedy zaświeci się zwierzętom w oczy np. latarką, to nie dość, że nie przemykają one powiek, to jeszcze ich oczy odbijają światło?

Zazdrością przyglądamy się kotom – świetnie widzą w nocy, a i przy ostrym świetle nie muszą mrużyć oczu. Kotowate (psy zresztą również) posiadają w oku błonę odbłaskową odbijającą światło, które następnie trafia do fotoreceptorów i poprawia sprawność widzenia z wykorzystaniem światła resztkowego. Z drugiej strony, gdy światła jest

za dużo, puchaty kotek nie musi nawet zamykać powiek, bo jego źrenice mogą się zwężyć do postaci wąskiej szczeliny. A jeszcze dodatkowo kocie oko ma o wiele więcej pręcików, czyli światłoczułych receptorów siatkówki, które odpowiadają za postrzeganie kształtów i ruchu. Po prostu nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

3. W jaki sposób powstaje ryż preparowany?

No właśnie, jak powstaje ryż dmuchany i czy to w ogóle jest ryż? Spekulacjom nie ma końca. Wyjaśnijmy więc: ryż preparowany to wypolerowane ziarna ogrzewane pod dużym ciśnieniem. Woda (a raczej para) zawarta w ziarnie gwałtownie się rozpręża i „nadmuchuje” ryż. Ziarenka stają

się lekkie, wydaje nam się nawet, że są puste w środku. Co ciekawe, proces preparowania ryżu nie odbiera mu wartości odżywczych – nadal ziarno zawiera 5,7 proc. białka, ok. 1 proc. tłuszczu, wapń i żelazo. Nie powinno się więc rozdmuchiwać kwestii, że jest to niezdrowa przekąska.

Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespoleństwo nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1 % podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

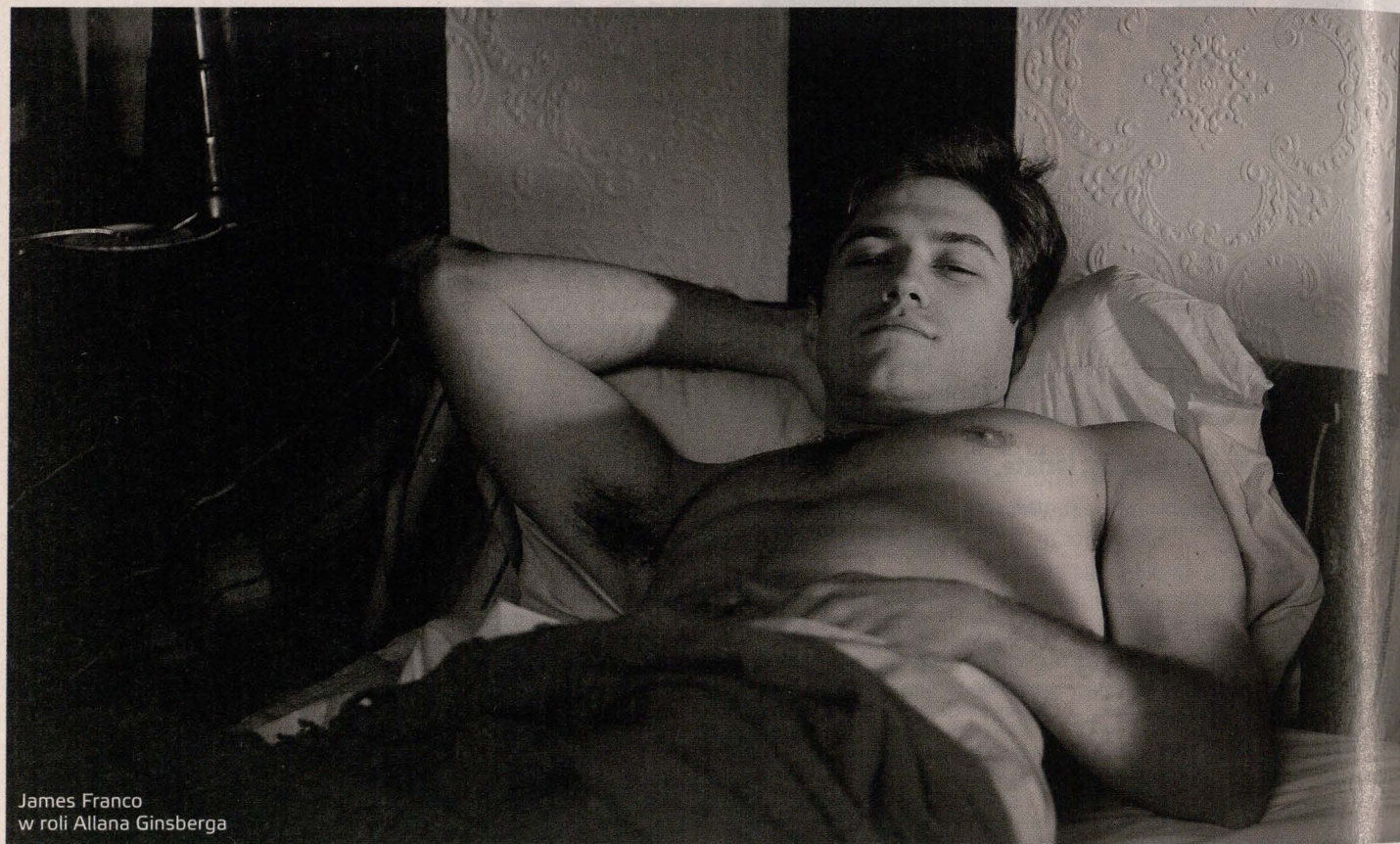


Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



Ten proces wciąż trwa



James Franco
w roli Allana Ginsberga

Film o skandalu obyczajowym, jaki wywołał w latach 50. w Stanach Zjednoczonych Allen Ginsberg, nie powinien być traktowany jako opowieść o zamierzchłej historii

JAKUB MAJMUREK

W drugiej połowie XX w. książkom i ich autorom wytaczano procesy nie tylko w dawnym bloku wschodnim. Na ławach oskarżonych pisarzy i ich dzieła zasiadali także w tak odruchowo dziś przez nas kojarzonych ze swobodą państwach jak Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania. Właśnie w USA i na Wyspach miały miejsce dwa najgłośniejsze chyba na Zachodzie procesy wytoczone literaturze, które na lata, aż do cza-

sów współczesnych, zdefiniowały w obu tych krajach granice wolności słowa, relacje między sztuką i pornografią.

W przypadku brytyjskim był to proces wytoczony „Kochankowi Lady Chatterley” D.H. Lawrence’a, słynnej modernistycznej powieści wydanej w Londynie dopiero 1960 r. Od razu trafiła ona pod sąd pod zarzutami propagowania „treści obscenicznych”. Przyjęte rok wcześniej prawo pozwalało wydawcom uciec od podobnych zarzutów, jeśli zdołają przed sądem udo-

wodnić „literacką wartość” dzieła. Przy okazji procesu wokół powieści Lawrence’a sąd przesłuchiwał więc praktycznie wszystkie najważniejsze postaci brytyjskiego życia literackiego, od żywego klasyka stawiającego pierwsze kroki w epoce edwardiańskiej, E.M. Forstera, po młodą gwiazdę marksizującej krytyki Raymonda Williama. Wyrok zdejmujący zakaz z książki powszechnie uznaje się za jeden z symptomów rewolucji obyczajowej, toczącej się na Wyspach w latach 60. Poeta Philip Larkin na-

piisał nawet, że w Wielkiej Brytanii stosunek seksualny pojawił się po raz pierwszy tak naprawdę gdzieś między „zdjęciem zakazu z Chatterleya (taka powieść) a wydaniem przez The Beatles pierwszego longplaya”.

W przypadku amerykańskim analogiczną rolę odgrywał proces wytoczony „Skowytowi” Allana Ginsberga w 1957 r., w samym środku konserwatywnej, konformistycznej dekady Eisenhowera, na kilka lat przed gwałtownymi obyczajowymi przemianami lat 60. Tę słynną rozprawę przy-

pomina wchodzący 30 marca na ekrany polskich kin tak samo zatytułowany film Roba Epsteina i Jeffreya Friedmana.

W trzewiach Molocha

Dziś „Skowyt” dość zgodnie uznawany jest za jeden z najważniejszych poematów literatury amerykańskiej, porównywalny tylko ze „Żdźbłami trawy” Walta Whitmana. Dzieło Ginsberga pisane było jako portret pokolenia dorastającego w latach 40. i 50. w eisenhowerowskiej Ameryce. Kraju pokrywanym się gęstą siecią autostrad i centrów handlowych, pogrążającym się w gorączce konsumpcji, każdemu oferującym stabilną pracę, samochód i domek z ogródkiem wypełniony gadżetami (telefonami, lodówkami, telewizorami).

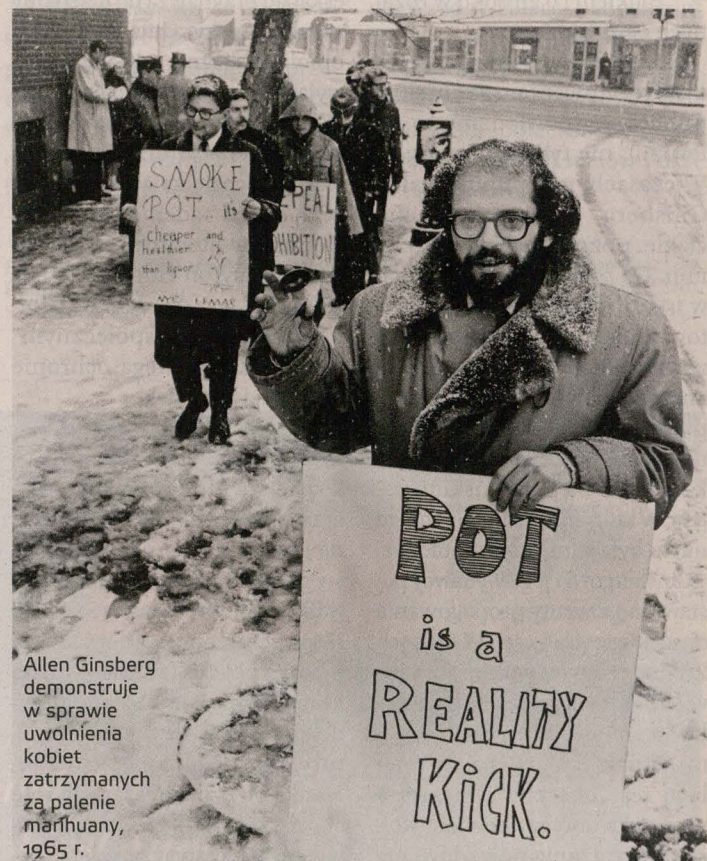
Głos przemawiający w „Skowycie” nie znajduje w tej rzeczywistości miejsca ani dla siebie, ani dla przyjaciół („Widziałem, jak najlepszych z mojego pokolenia zabrało szaleństwo głodnych, historycznych, nagich”). Nowoczesna amerykańska cywilizacja portretowana jest przez Ginsberga jako złowrogi pogański bóg Moloch, pożerający własnych

wiernych. „Co za sfinks z cementu i aluminium roztrzaskał ich czaszki i pożarł ich mózgi i wyobraźnię? Moloch! (...) Moloch, którego umysł to czysta maszynieria Moloch, którego krew to strumienie monet!”.

Jednocześnie „Skowyt” nie jest nihilistyczną deklaracją przegranej jednostki miażdżonej przez uwolnione przez nią, lecz potężniejsze od niej siły nowoczesnej cywilizacji. Wobec potęgi nowoczesnego Molocha poeta nie wywiesza białej flagi, wchodzi z nim w konflikt, walczy o wykreowanie dla siebie jakiejś minimalnej przestrzeni wolności. Rozprawa wpisuje się tym samym w wielką, ciągnącą się od romantyzmu tradycję sporu indywidualnej podmiotowości z bezosobowymi siłami nowoczesnej cywilizacji technicznej, wobec której w ostatniej części poematu ostaje się „Święta, nadprzyrodzona, wspaniała, rozumiejąca łaskawość duszy”.

Sztuka i obscena

W latach 50. jednak tym, co przede wszystkim przykuło uwagę do poematu, były zawarte w nim obrazowe opisy transgresyjnych narkotycznych i sek-



Allen Ginsberg demonstruje w sprawie uwolnienia kobiet zatrzymanych za palenie marihuany, 1965 r.

sualnych, zwłaszcza homoseksualnych, doświadczeń. Oburzenie sił prawa i porządku wzbudziły przede wszystkim słowa: „Którzy dawali się jebać motocyklistom o miłosiernych sercach

i pokrzykiwali z radości, którzy obciążali i dawali obciążać aniołom w ludzkiej skórze, żeglarzom, miłosne pieścizny Atlantydy i Wysp Karaibskich, którzy różnili, ile się dało, →

REKLAMA

Gdańsk 27-29 kwietnia 2012

SIESTA FESTIVAL

www.siestafestival.pl

Bilety: www.ticketpro.pl, www.eventim.pl, www.biletyna.pl

Polska Filharmonia Bałtycka, Miasto Aniołów/Barka, Klub Parlament

Tito Paris

Buika

Raquel Tavares

Yasmin Levy

Blick Bassy

Sponsor: **LOTOS**

Współorganizator: **Polska Filharmonia Bałtycka** im. Fryderyka Chopina w Gdańsku

→ rankiem i o zmroku w różnych ogrodach”.

Nawet dziś byłby problem z wyrecytowaniem tych słów publicznie (powiedzmy, w telewizji), nie tylko w Ameryce. W czasach, gdy publikował je Ginsberg, homoseksualizm ciągle pozostawał w podziemiu. Co prawda, od publikacji w 1948 r. słynnego raportu doktora Kinseya, wskazującego, że zachowania homoseksualne są znacznie powszechniejsze w populacji, niż przyjęło się sądzić, minęło dziesięć lat, ale Ameryka ciągle była purytańskim krajem, w którym kultura głównego nurtu była silnie homofobiczna.

Ginsbergowi i jego wydawcy postawiono zarzuty propagowania obscenicznych treści. W Stanach Zjednoczonych wolność wypowiedzi chroni pierwsza poprawka do konstytucji, jednak zgodnie z praktyką prawną nie podlega jej „obscena”. Pierwsza poprawka dotyczy bowiem wolności wyrażania poglądów, nie obejmuje treści, których celem jest wyłącznie epatowanie wulgarnymi, seksualnymi odniesieniami, pozbawionymi wartości intelektualnej czy artystycznej. Proces „Skowytu” toczył się więc o to, czy jego wulgarny język, zawarte w nim obrazy seksualnych

eskapad przynależą do dziedziny sztuki, czy wyrażają istotne dla opinii publicznej poglądy, czy są wyłącznie pornograficzną pulpą. Według scenariusza, który miał się później powtórzyć w brytyjskim procesie książki Lawrence’a, przed sądem stanęli biegli znawcy literatury. W końcu sędzia Clayton Horn uznał, że „Skowyt” jest dziełem o „istotnym znaczeniu społecznym” i jako takie podlega ochronie pierwszej poprawki.

Nie tylko eksponat

Dzisiejsza filmowa rekonstrukcja procesu „Skowytu” może na pierwszy rzut oka wydawać się pamiątką z muzeum historii walki o wolność słowa w Stanach. Homoseksualne treści w literaturze pięknej czy w kinie w dużej mierze stały się częścią głównego nurtu amerykańskiej kultury, przynajmniej odkąd Tom Hanks otrzymał Oscara za rolę chorego na AIDS prawnika w „Fildelfii”. Życiorysy pokolenia beatników, którego dzieje opisywał poemat, są taką samą szacowną częścią amerykańskiej mitologii co western, procesy czarownic z Salem czy historia Pocahontas. W tym roku zresztą do kin wchodzi zrobiona przez debiutującego w Hollywood Waltera Sal-



Peter Orlovsky (kochanek poety) i Allen Ginsberg

lesa adaptacja „W drodze” Jacka Kerouca – powieści sztandarowej dla tego pokolenia i jego mitologii. Czy oglądany w kinie proces Ginsberga może więc powiedzieć cokolwiek istotnego o współczesnej Ameryce?

Na pewno pokazuje on jedno – to, jak bardzo Amerykę zmieniła tzw. wojna kulturowa.

Sędzia, który wydał korzystny dla Ginsberga wyrok, nie był liberałem. Wręcz przeciwnie, znany był ze swoich głęboko konserwatywnych przekonań. Potrafił jednak wznieść się ponad swoje partykularne uprzedzenia i wydać wyrok znacznie rozszerzający rozumienie konstytucyjnych wolności. Dziś taki wyrok ze stro-

ny konserwatywnego sędziego byłby nie do wyobrażenia.

Sądy i nominacje sędziowskie stały się areną „wojny kulturowej”, jaka toczy się od kilku dekad w Stanach. Prawica, by zgromadzić poparcie uboższych grup, od lat straszy obywateli żyjących poza wielkomiejską Ameryką, że wzrost tolerancji zagraża ich tożsamości kulturowej. Mobilizując ich wokół haseł kulturowych, jednocześnie prowadzi uderzającą w ich interesy politykę ekonomiczną. Rozbudzone w ten sposób gniew, żal i poczucie rozgoryczenia kieruje przy tym w stronę „liberalnych elit”, które gardząc „wrażliwością moralną większości”, mają rzekomo odpowiadać za całe zło w Stanach.

Współczesny odpowiednik sędziego Horna nie mógłby spokojnie wysłuchać argumentów liberalnych akademickich literaturoznawców. Musiałby jasno zająć stanowisko w kulturowej wojnie i wystąpić jako obrońca uciskanej „moralnej większości” przed depczącą jej wartości „pornograficzną” „bezbożną” poezją.

Trzeba jednak powiedzieć, że w ciągu pół wieku od procesu „Skowytu” Ameryka i jej kultura (zwłaszcza docierający do Europy jej główny nurt) stały się nieporównanie bardziej liberalne, otwarte na wcześniej zakazane, naznaczone stygmatem treści (takie jak homoseksualizm).

To udomowienie niegdyś kontrkulturowych wątków (z pragnieniem homoseksualnym na czele) niekoniecznie ucieszyłoby samego Ginsberga. A przynajmniej nie tego pojawiającego się w „Skowycie”, dla którego seks, narkotyki, sztuka, kulturowa transgresja są sposobem ucieczki z mieszczańskiego społeczeństwa, a nie wartościami, jakie mają z nim być zintegrowane.

Jednak całkiem spora część Ameryki nie załapała się na tę liberalizację. Choć w wielu stanach lokalne legislatury zalegalizowały związki partnerskie dla osób tej samej płci, a w kilku (jak stanowiące symbol liberalizmu Massachusetts) dopuszczane są nawet małżeństwa jedнопłciowe, to w kilku innych stosunki homoseksualne ciągle formalnie podlegają penalizacji. Choć w wielu Stanach dominuje całkowicie świecki model życia, w kilku fundamentalistyczne lobby jest na tyle silne, by narzucić w szkołach nauczanie „teorii inteligentnego projektu” jako „alternatywy” dla odrzuconej przez amerykańską prawicę chrześcijańską teorii Darwina.

Ameryka konserwatywna postrzega główny nurt amerykańskiej kultury jako obcy i stara się od niego odizolować. Bojkotuje hollywoodzkie filmy, nie czyta opiniotwórczych dzienników, ucieka z państwowego systemu edukacji się w homeschooling, zamyka w ramach swoich religijnych wspólnot tworzących swój własny obieg kultury, w którym najważniejszym tekstem jest fundamentalistycznie interpretowane Pismo Święte. Zbroi się jednocześnie po zęby (w nominacje sędziowskie, miejsca w Kongresie i legislaturach stanowych), przygotowując kolejne ofensywy w kulturowej wojnie.

Oczywiście taka reakcja na obyczajowe przemiany występuje w różnym stopniu wszędzie na świecie, ale w Ameryce

przybiera szczególnie zorganizowaną, agresywną formę. Dziś rozmowę o granicach wolności słowa jest nawet trudniej prowadzić niż na sali sądowej sędziego Horna. W tym sensie film o Ginsbergu jest wciąż aktualny.

Fragmenty „Skowytu” Allena Ginsberga w przekładzie Grzegorza Musiała

Fragment „Stosunku seksualnego” Philipa Larkina w przekładzie Stanisława Barańczaka

krytyka Jakub Majmurek jest redaktorem wydawnictwa Krytyka Polityczna

REKLAMA

Europa w obie strony

od 399 PLN

POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

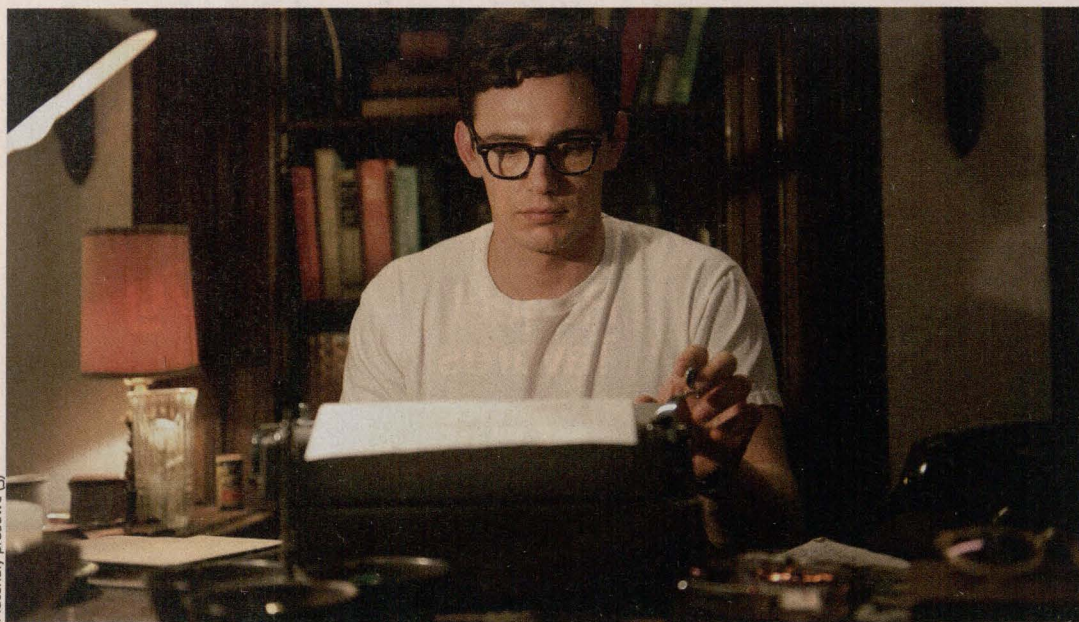
A STAR ALLIANCE MEMBER

Kupuj wcześniej, lataj taniej z Taryfą First Minute!

Kupując bilet w Taryfie First Minute, możesz wcześniej zaplanować swoje wakacje w atrakcyjnej cenie. Nie czekaj, leć taniej na urlop między lipcem a październikiem!

Całkowita cena biletu zakupionego na lot.com, w Taryfie First Minute na bezpośredni lot w obie strony w klasie ekonomicznej zawiera wszystkie podatki i opłaty, może ulec zmianie w zależności od terminu zakupu biletu.

lot.com





Eustachy Kossakowski, otwarcie Supersamu, 1962 r.



Wojciech Plewiński, Ogólnopolski Salon Architektury Wnętrz, 1958 r.



Wojciech Plewiński, Ogólnopolski Salon Architektury Wnętrz, 1958 r.



Zbigniew Dłubak, sklep Adam, 1962 r.

JACEK TOMCZUK

Moda na design z lat 50. i 60. trwa od dawna. Kupowanie gomułkowskich stolików, foteli, wazoników z Włocławka czy Ćmielowa na bazarach za grosze już się skończyło. Te przedmioty z bibelotów zalegających meblościanki stały się fetyszami nowoczesności. Zostały aukcje lub podziwianie ich na muzealnych wystawach.

Z drugiej strony kolejne perły architektury z tamtych czasów zamieniają się w gruzy. W Warszawie na miejscu lekkiej konstrukcji pawilonu Chemii stanął dom towarowy o gracji reaktora atomowego. Po Supersamie wciąż pozostała dziura na placu Unii Lubelskiej. No więc jak to jest z tym polskim modernizmem? Kochamy go czy poświęcamy na ołtarzu wolnorynkowej gospodarki? Dziś odkrywamy na nowo mozaiki i ścienne malowidła Hanny i Gabriela Rechowiczów powstające od lat 60. do 80. XX w. Jeżeli można je nazwać modernizmem PRL, to postmodernizm III RP go zniszczył. Zostają zdjęcia. Nieraz wybitne.

Kociak na wystawie mebli

Polskie design i architektura miały bowiem szczęście: specyfika PRL spowodowała, że fotograficznym ich dokumentowaniem zajmowali się najwybitniejsi twórcy, choć nie była to

Zero tolerancji dla brzydoty

Zdjęcia z otwarcia Supersamu, sklepu Adam z męską konfekcją, stacji PKP Powiśle... Mała architektura, neony, wnętrza ekspozycji i ekspozycje wnętrz. „Foto-soc-dizajn 50.60.” to wystawa o fotografii czy o designie? A może o designie, który przetrwał tylko w fotografii?

specjalizacja żadnego z nich. Wojciech Plewiński pracował jako etatowy fotograf „Przekroju”, jego głównym zadaniem było zapewnienie tygodnikowi „kociaków” na okładce. Wizerunek młodej kobiety o wciętej talii i długiej szyi, kocich oczach i swobodnej fryzurze był jednym z wizualnych fetyszy nowoczesności. Wyrazem dynamizmu nowej epoki, tak jak abstrakcja i surrealizm, są nowe tworzywa i lekkie konstrukcje.

Relacja Plewińskiego z Ogólnopolskiego Salonu Architektury wnętrz, który odbywał się w Krakowie w 1958 r., łączy wszystkie elementy poodwilżowej estetyki: mocną kreację, subtelny erotyzm i obiekty fetysze – nowoczesne meble często młodych projektantów. „To propaganda nowego designu i portret nowej obyczajowości” – pisze Łukasz Gorczyca z galerii Raster, która weźmie udział w programie Polski Fotodesign: wraz z fundacją

Archeologia Fotografii i Asymetrią zorganizuje cykl wystaw poświęconych fotografii designu. Następną odsłoną będą zdjęcia mody Tomasza Sikory, które robił w latach 70.

Fotele, lampy i stoliki, z którymi pozowała z wdziękiem Krystyna Zachwatowicz, mogłyby znaleźć się w dzisiejszych mieszkaniach właścicieli zapatrzonych w modernistyczne retro. Mogłyby, gdyby zostały wyprodukowane. To, co oglądamy na zdjęciach Plewińskiego, to prototypy, które nie weszły do produkcji. Wyglądają pięknie, ale nikt się nie przekonał, czy były wygodne i funkcjonalne. Pozostał piękny mit.

Świat świetnie zaprojektowanych wnętrz istnieje w tych zdjęciach na granicy marzenia i rzeczywistości gomułkowskiej siermięgi. Jesteśmy w czasie niedokonanym, choć możliwym. Ta potencjalność tylko dodaje fotografiom Plewińskiego energii.

„Chcemy być nowocześni” – pisał w 1956 r. Jerzy Hryniewicz, architekt, designer, jedna z najciekawszych postaci polskiego modernizmu. „Piękno musi nas otaczać. Jesteśmy zbyt tolerancyjni dla brzydoty dnia codziennego, przejawiającej się na każdym kroku – w mieszkaniu, w miejscu pracy, na ulicy – anachroniczną niewspółczesnością”.

Te słowa ukazały się w 1956 r. w tekście „Kształt przyszłości” zamieszczonym w pierwszym numerze magazynu „Projekt”. Skończył

się socrealizm, polska dostała zielone światło dla nowoczesności. W zacofanym, wciąż nieodbudowanym po II wojnie światowej kraju sama nowoczesność była bowiem projektem – czymś, co trzeba było narysować, czemu należało nadać formę. Wystawa w Asymetrii świetnie oddaje zderzenie tamtego idealizmu z ówczesną realnością. Już nigdy potem design nie był tak związany ze sztuką. I nigdy potem sztuce i projektowaniu nie stawiano tak wysokich wymagań.

Autoportret nad kasą

W 1962 r. Zbigniew Dłubak był już klasykiem fotografii. Zdecydował się jednak na zaprojektowanie wnętrza sklepu z użyciem własnych fotografii. Jego kapitalny projekt salonu Adam z konfekcją męską przy ul. Świętokrzyskiej (1962) pełny jest „dwuznacznego” dowcipu – młody elegancki człowiek, leżący na ścianie i wydłużony do niemożliwości, pokazany zostaje na fotografii w innych miejscach sklepu w perspektywie niemal nadrealistycznej. Dłubak umieszcza nawet wielki autoportret. Jednak na pokazywanych w Asymetrii zdjęciach już gotowego wnętrza pod monumentalnym, fotomontażowym fryzem straszą puste wieszaki, widać tanie materiały wykończeniowe.

Podobne wrażenie rozjazdu doskonałego projektu i surowej realizacji widać w relacji

Eustachego Kossakowskiego z otwarcia pierwszego polskiego supermarketu. Obserwujemy obiekt kilka minut przed wpuszczeniem klientów. Wnętrze wygląda olśniewająco, przestronnie, lekko. Tymczasem jakaś upiorna komisja sprawdza, czy kilometry półek są równomiernie zastawione butelkami, puszkami, słoikami. Tłum klientów przyklejony do szyb. Ekspedientki w eleganckich uniformach i nie mniej zadbanych fryzurach czekające przy kasach. Za chwilę wszystko wymknie się spod kontroli.

Ale co jest właściwie tematem tej wystawy? Ów design czy fotografia, która osadza go w kontekście: politycznym, społecznym, estetycznym? Twórcy Supersamu, wspaniałych dworców kolejowych czy twórcy zdjęć je dokumentujących: Eustachy Kossakowski lub Tadeusz Sumiński? A może relacje fotografa i architekta czy designera? Pierwszy tworzy, wykorzystując pomysł tych drugich. Sama fotografia występuje tutaj w dwóch rolach – jako dokumentacja i środek wyrazu. Często łączą się ze sobą, a napięcie, jakie powstaje, jest niezwykle interesujące.

„Foto-soc-dizajn 50.60.”

kurator: Rafał Lewandowski, koncepcja ekspozycji: Piotr Duma i Aneta Faner, galeria Asymetria, ul. Jakubowska 16, Warszawa, wystawa czynna do 3 kwietnia



Gasnący świat

„Świat się kończy” – ogłaszał niemal każdej napotkanej osobie Bela Tarr podczas ubiegłorocznego festiwalu Nowe Horyzonty. A w „Koniu turyńskim” ów koniec pokazał



W kinie to żadna nowina – filmowcy świat już palili, burzyli, zalewali i mrozili. Ostatnimi czasy jednak apokalipsa stała się tematem reżyserów, których nie interesuje orgia destrukcji, lecz przerażające doświadczenie ostateczności.

W „Melancholii” Larsa von Triera przed strachem ratuje nihilizm (oraz, na poziomie reżyserskiej wypowiedzi, sztuka), w „Ostatniej miłości na Ziemi” Davida Mackenziego – miłość. Gdzie (i czy w ogóle) ratunek widzi w swojej wersji końca świata węgierski reżyser Bela Tarr?

Tytuł nawiązujący do słynnego epizodu z biografii Friedricha Nietzschemo (filozof ujrzał bezlitośnie okładanego konia i postradał zmysły) oraz nar-

rator, który opowiada tę historię na początku filmu, mogą sugerować trop nihilistyczny. Epizod turyński odczytuje się czasem jako przypowieść o klęsce systemu filozoficznego, który stanowił tylko chwiejny, zniszczony w sekundę model opisu świata.

Jednak w swoim najnowszym filmie (i, jeśli wierzyć zapowiedziom reżysera, ostatnim) Tarr pozostaje bezwarunkowo wierny filozofii twórczej, którą wypracował we wcześniejszych dziełach (np. w „Szatańskim tangu”) – redukuje scenografię, dialog i montaż do minimum, komponuje surowe kadry i opowiada długimi ujęciami. W „Koniu turyńskim” styl Tarr’a osiągnął niebywałą intensywność, dzięki czemu jego światopogląd, pozosta-

jąc wizją intymną, zyskał wielką artystyczną skalę.

Na czarno-białej taśmie (choć i oprócz czerni możemy liczyć tylko na szarość) uwiecznił Tarr siedem dni z życia ojca, córki i konia, który służy im za środek transportu. Film otwiera scena powrotu ojca do domu. To podróż w akompaniamencie huczącego wiatru i zapętłonej muzyki, znój i udręka, które zresztą towarzyszą wszystkim poczynaniom bohaterów. Ojciec i córka automatycznie odprawiają codzienne rytuały – kęs ziemniaka, łyk palinki, sen.

Rzadko tylko dukają półsłówka i bez cienia protestu przyjmują to, co Tarr pokazuje jako ostateczny wymiar egzystencji – nagie trwanie.

Za oknem chaty bohaterów szaleje coraz silniejszy wiatr, w studni woda zamienia się w kamienie, a ojciec i córka po prostu dostosowują się do warunków. U Tarr’a bowiem to, co ostateczne, jest zarazem w jakiś sposób naturalne. Zamiast finałowej eksplozji i przerażenia (jak w „Melancholii”) mamy powolne zanikanie i machinalną akceptację. Świat nie kończy się nawet jękiem. On po prostu gaśnie.

BLAŻEJ HRAPKOWICZ

„Konia turyńskiego”, reż. Bela Tarr, Francja, Niemcy, Szwajcaria, USA, Węgry, Stowarzyszenie Nowe Horyzonty, premiera 30 marca



Starość, czyli ucieczka

Motyw relacji seksualnych między młodymi dziewczynami i starszymi panami nie jest niczym nowym ani w kinie, ani w ogóle w kulturze. Jednak debiutująca Sophie Schoukens odwraca schemat

W tym filmie 20-letnia Marieke (Hande Kodja) nie chadza do łóżka z seniorami dla pieniędzy, dla kariery czy z przymusu. Interesują ją wyłącznie mężczyźni w bardzo zaawansowanym wieku. Nie tylko uprawia z nimi seks, ale także fotografuje różne części ich ciał. Przygląda się potem tym zdjęciom z mieszaniną czułości i zadziwienia.

Marieke to dziewczyna niepokorna. Pracuje w fabryce czekolady (od razu

wiadomo, że jesteśmy w Belgii), ale ciężko jej dostosować się do „norm i standardów produkcji”. Mieszka z matką, która wciąż nie może pozbierać się po śmierci swego męża, pisarza. Ta tragedia sprzed kilkunastu lat otoczona jest rodzinnym tabu, które Marieke złamie dzięki pomocy dawnego przyjaciela ojca i jego wydawcy, Jacoby’ego (w tej roli znany z oscarowego filmu „Karakter” Jan Decleir).

Film Schoukens wydobywa na powierzchnię to, co wyparte przez kulturę (cielesność i seksualność ludzi w podeszłym wieku) oraz przez rodzinę (traumatyczne wydarzenie z dawnych czasów). Młoda bohaterka kieruje się ku starości, która ją fascynuje. Ucieka od teraźniejszości, w której nie czuje się dobrze, ku przeszłości, której nie zna. Tę ambiwalencję bliskości i oddalenia dobrze oddają zdjęcia autorstwa Alaina Marco-

ena (stałego współpracownika braci Dardenne). Utrzymane są one w zimnych, zgaszonych kolorach przełamanych czasami ciepłym brązem.

„Marieke, Marieke” nie do końca jednak wykorzystuje swój potencjał. Intrygująco się zaczyna, ale wchodzi na wydeptane ścieżki: poszukiwania „zastępczego” ojca, terapii po ciężkim dzieciństwie. Tytuł jest cytatem z rozbrzmiewającej na ekranie piosenki Jacquesa Brela. To koniec końców sprowadza film do poziomu lirycznej refleksji, choć nie za sentymenty cenimy Brela najbardziej, lecz za drapieżność. A tego akurat trochę w debiucie Schoukens brakuje.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„Marieke, Marieke”, reż. Sophie Schoukens, Niemcy, Belgia 2010, Spectator, premiera 30 marca

Apokalipsa z twarzą matki

Dobra wiadomość: Andriej Zwiagincew wrócił z nieba na ziemię. Podzieloną na „nierobotnych” i bogaczy

Akcja „Eleny”, w odróżnieniu od „Powrotu” i „Wygnań”, nie toczy się poza czasem i przestrzenią, ale we współczesnej Moskwie, a przyziemne sprawy odciskają piętno na życiu bohaterów.

Elena (świetna Nadieżda Markina) żyje w luksusowym apartamencie, wystarczy jednak chwila, by zorientować się, że nie do końca tu pasuje. Rano odsłania okna, przygotowuje śniadanie, budzi swojego męża, czeka na niego przy stole. Wznieśli się w bogactwo i zachowuje się trochę jak luksusowa pokojówka, która gospodarzowi oferuje ciepło i czułą opiekę.



Opiekuńczość leży w jej naturze, więc w wolnym czasie pomaga synowi z poprzedniego małżeństwa, który w mrówkowcu na peryferiach miasta pije piwo, płodzi dzieci i czeka na matczyną emeryturę. Jego potrzeby jednak rosną, a Wołodia, nie tak opiekuńczy jak małżonka, nie zamierza nierobę sponsorować. I trudno go za to potępiać.

DAREK AREST

W „Elenie” nikt zresztą nie jest potępiony i wszyscy mają rację, ale niczego nie czyni to łatwiejszym. Pasywność bohaterów z podmiejskich blokowisk staje się bardziej zrozumiała, gdy wkraczamy w rzeczywistość, w której beznadziejnie dziedziczy się z pokolenia na pokolenie. Droga do centrum, którą trzeba przebyć m.in. pociągami, to mentalna bariera nie do pokonania.

Wołodia woląby dawać wędkę niż rybę, a Elena pewnie by to rozumiała, gdyby równie zasadniczy był w stosunku do swojej niewdzięcznej córki. Styl życia tej „przeklętej hedonistki” oficjalnie potępia, ale sponsoruje ją bez mrugnienia okiem. Matka nie jest od rozumienia błędów syna, ale od pomagania i oburzania się, gdy niesprawiedliwy świat jej na to nie pozwala. A gniew oburzonej kobiety jest święty i wieszczy tragedię.

Moskwa, jaką tu widzimy, nie różni się tak bardzo od Warszawy, choć Zwiagincew szczególnie mocno eksponuje kontrasty: bogactwo sąsiaduje z nędzą, przedsiębiorczość ze stagnacją. Ludzie po obu stronach niewidzialnego muru od dawna już nie są w stanie się zrozumieć.

„Elena” miała być częścią filmowej antologii, w której twórcy z różnych stron świata daliby wyraz swojemu rozumieniu apokalipsy. Transmisję z końca świata można według Zwiagincewa oglądać na żywo, w idiotycznych programach telewizyjnych, dzięki którym, przy rozwodnionym piwie i tanich orzeszkach, można zobojeźnić na bezadzieję. Apokalipsa ma twarz „nierobotnych” oraz bogaczy, którzy chronią się przed nimi na zamkniętych osiedlach. A przede wszystkim ma twarz matki, która robi wszystko, by zadośćuczynić instynktowi opieki i wykoślawionemu poczuciu przyzwoitości.

„Elena”, reż. Andriej Zwiagincew, Rosja, premiera 23 marca



„Znakomicie napisany i świetnie wyreżyserowany film ze znakomitymi rolami Julianny Margulies i Andy’ego Garcii” - ViewLondon

ANDY GARCIA
JULIANNA MARGULIES
ALAN ARKIN
EMILY MORTIMER



Z RODZINKĄ NAJLEPIEJ WYCHODZI SIĘ NA ZDJĘCIU

CITY ISLAND

Film w stylu „American Beauty” i „Małej Miss”

WZECZPOSPOLITA

rp.pl

PRZE KROJ

UWAŻAM RZE

SOŁO

iplax.pl

HIRO

students.pl

laMODE.INFO

Wieszak.PL

FUTU.PL

PORTAL SKARBEC.BIZ

STOPKlatka

GREMI FILM PRODUCTION

POLECA

Schiller: okrucieństwo i anarchia



„Zbójcy” to najlepszy niemiecki spektakl Jana Klaty. Reżyser zaskakuje widzów, odkrywając u Schillera opowieść nie o jednej rewolucji, lecz o dwóch

Klata jest w Bochum trochę innym reżyserem niż w Polsce. Nie dlatego, że realizując już trzeci spektakl w Zagłębiu Ruhry (przed Schillerem były premiery według Kafki i Ravenhilla), nasycając nie chcąc niemieckim teatrem. Różnica polega na zmianie intencji rozmowy z widzem.

U nas Klata idzie na zderzenie czołowe z mitami i tradycją, z historią i literaturą. Drwi i prowokuje. Tymczasem w Bochum nie przyjmuje wobec niemieckiej klasyki postawy barbarzyńcy, nie wywraca arcydzieła romantycznego do góry nogami, krzycząc, że jest zakłamane i bardzo chce artystycznie tej „gorszej” części Europy. A przecież mógłby. Zamiast Niemców obrazić i drażnić, woli pokazać im palcem: „Pa-trzcie, meine Kameraden, tego problemu dotąd nie zauważyliście!”. Umieszcza ich fobie i fascynacje w nowym kontekście, odkrywając w dziele Schillera zdumiewające pokłady anarchizmu i okrucieństwa. Publiczność może być zdumiona właściwie tylko premedytacją, z jaką reżyser podważa ste-

reotypowe rozpoznanie, kto w „Zbójcach” jest dobry, a kto zły.

Na scenie stoi las ze świetlówek. Ściana w głębi, zbudowana z metalowych rur, przywołuje na myśl zarówno monstrualne organy, jak i blanki średniowiecznej fortecy. I jeszcze dwa wielkie blaszane ekrany po bokach, na których Klata będzie wyświetlał filmy, a z przodu rozlana kałuża wody.

W labiryncie światła i mroku błąka się tysy mężczyzna (Andreas Grothgar) w sukni z kilkoma struno-prętami wbitymi w plecy, jakby była to reszka anielskiego skrzydła. To stary Moor – raniony i upokarzany przez synów. Jest poza płcią, staje się ojco-matką, symbolem utraconego domu i raju. Ale spektakl zaczyna Franz (Florian Lange). Gruby, zdeprawowany, obsesyjnie natrętny – wchodzi i wyjawia swój plan: zadręczyć ojca, pozbyć się brata, zdobyć dla siebie jego kobietę.

Klucz wizualny, który Klata zastosował do „Zbójców”, jest frapujący. Świat Schillera zobaczył w teledysku „Iron” Yoanna Lemoine’a, ukrywa-

jącego się pod pseudonimem Woodkid. Bierze z niego nie tylko atmosferę i kolorystykę scenicznych obrazów, ale i podstawowe rekwizyty, pomysł na kostiumy oraz rytm spektaklu.

U Woodkida w bieli i czerni, pośród dymu, z wilkami i sowami, grupa barbarzyńskich wojowników, zbuntowanych nastolatków i street fighterów biegnie gdzieś na oślep, w śmierć i zniszczenie. Niebo celuje w nich odłamkami lawy i meteorytów.

Stąd przyszli bohaterowie „Zbójców”. Chłopiec śniący na katafalku dorasta i staje się kaleką oraz krętarzem Franzem. Wytatuowany wojownik wymachujący morgenstermem jest prototypem starszego z braci Moor (Felix Rech). „Milion kilometrów od domu, idę przed siebie, zmarznięty do szpiku kości, ja – żołnierz bez dowódcy. Nie znam drogi, ale jestem gotowy do walki” – śpiewa Woodkid i to mógłby być monolog Karola. Rech – półnagi, muskularny, oblepiony znakami na ciele jak zbroją – jest wciąż w ruchu. Rozbija butelkę na głowie

księdza, polewa siebie i świat benzyną, ale zamokłe zapalki nie chcą się palić... Towarzyszy mu czterech rebeliantów w skórzanych spodniach i z obnażonymi torsami, na które pokładali fragmenty rycerskich kości. Mówią chóralnie przytuleni do metalowej ściany, w chwilach zagrożenia tworzą ze swych ciał drgający kłęb, grzeją się nawzajem albo tylko przywołują obraz stosu trupów. To prawie banda Alexa z „Mechanicznej pomarańczy”, którą Klata wystawił we Wrocławiu. Tylko czym tak naprawdę jest ich rewolucja? Zemstą za niegodziwość świata? Nigdy niezaspokojonym dążeniem do wolności?

W spektaklu Klaty Franz i Karol to dwa oblicza rebelii. Jedna wymierzona została w porządek naturalny reprezentowany przez rodzinę, druga w ład społeczny i prawny. Franz knuje przeciwko bratu, a ojca dręczy psychicznie i skazuje na głodową śmierć. Wydziedziczony Karol staje na czele bandy. Oba braciom chodzi o wyzwolenie z okowów, inne są tylko ich metody. Co skuteczniejsze: zdrada czy przemoc? Mózg czy tępą siłą? I dlaczego perfidia ma być bardziej godna potępienia niż ślepe okrucieństwo?

Klata zrównuje winy. Franz przed ciężarem ojcostwa ucieka w samobójstwo, chce nicości. Karol jest winny rewolucji, czyli światobójstwa. Ohydny czynami nie da się upiększyć ani zmienić świata – rozumuje. Dlatego – karając siebie – obojętnie patrzy na śmierć cudownie ocalonego ojca i zabija swoją kochankę Amalię.

Znieważony porządek wymaga jednak prawdziwej ofiary – głosił Schiller – więc jego bohater oddawał się w finale w ręce sprawiedliwości. Ale u Klaty odkupienia nie będzie. Karol błąka się między żywymi trupami ojca, Franza i Amalii. Ocalali zbójcy taplają się w kałuży wody. Jak wieczni chłopcy. Zabawa w rewolucję trwa w najlepsze.

ŁUKASZ DREWNIAK

„Zbójcy” Fridericha Schillera, reż. Jan Klata, scenografia i kostiumy: Justyna Łagowska, choreografia: Maćko Prussak, Schauspielhaus Bochum, premiera 3 marca

Homo cobietus w impasie

38-letnia Emilia ukończyła polonistykę z rozszerzonym bibliotekoznawstwem, ale pracuje w hurtowni. Wciąż mieszka z rodzicami, zniedołężniałymi i wymagającymi stałej opieki. Poza tym bohaterka nowej powieści Sieniewicza cierpi na narcolepsję i obsesyjny pociąg do ptasiego mleczka. Ale najbardziej ze wszystkiego doskwiera jej to, że jest „starą panną na wydaniu”. Panicznie bojąc się dożywotniej samotności, jednocześnie buntuje się przeciwko stereotypowemu rozdaniu społecznych ról. Jej słowami ujmując: przeciwko byciu Rezydentką Dziurdzia, która bez Misia u boku nie ma prawa być szczęśliwa.

Buntownicze zapędy Emi ujawniają się nie tylko w jej snach (a z racji choroby zasypia kilka razy w ciągu doby), ale także na „fejsie”, gdzie grasuje jako Śpiąca Królowna, członkini BBC, tj. Bandy Bajkowych Cip. Należą do niej jej równie oburzone kumple z hurtowni, a ich celem jest ośmieszenie Misia, na ogół równie sfrustrowanych jak one.

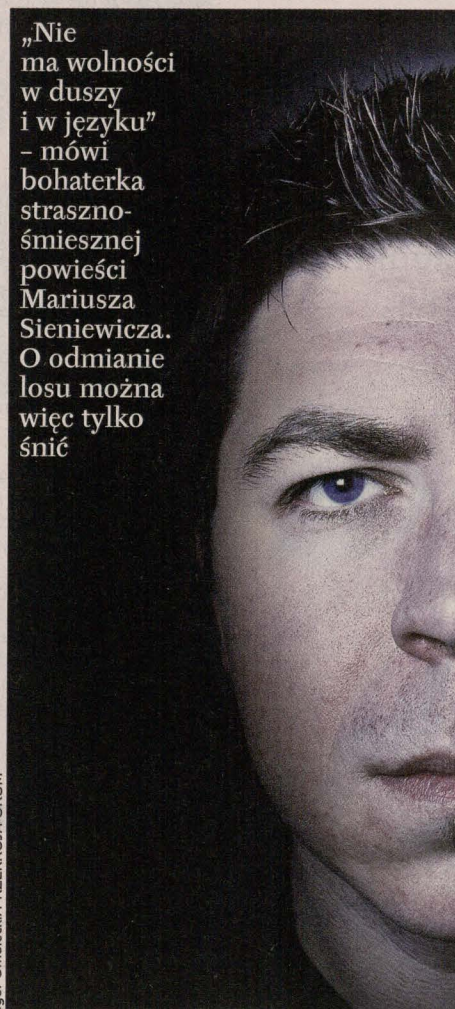
Oniryczno-wirtualne wydarzenia ustępują miejsca rzeczywistości, kiedy do Emilki zgłasza się Świeta, jej rzekoma siostra z Białorusi. Czyli z kraju, gdzie kobieta doświadcza jeszcze większego zniewolenia. Kiedy Świeta prosi Emi o znalezienie „ciacha” na wieczór, ta druga prowadzi ją do trzech spośród swoich dawnych kochanków. Okazuje się, że eks-Misiowie również nie są w stanie sprostać rohom, do jakich mężczyźni są teoretycznie predysponowani – wszystkich dotyczą różnorakie neurozy prowadzące do impotencji.

Posiłkując się jak zawsze surrealistyczno-groteskową poetyką, Sieniewicz nie opisuje wojny męsko-żeńskiej, lecz bezskuteczne starcie zarówno kobiet, jak i mężczyzn ze światem, w którym nie da się żyć. Jak sądzi główna bohaterka, można z niego co najwyżej uciec – na wzór Hamleta – w śmierć albo w sen.

Sen wypełniony rojeniami o samobójstwie nie przynosi jej jednak pocieszenia. Przynajmniej dopóki nie przestanie szukać wyzwolenia przy pomocy Boga lub Szatana i nie postanowi się przeobrazić. Z uwięzionej w klatce społecznych warunkowań księżniczki we wścieklą wiedźmę.

„Nie ma wolności w duszy i w języku” – mówi bohaterka straszno-śmiesznej powieści Mariusza Sieniewicza. O odmianie losu można więc tylko śnić

Igor Omulecki/PRZEKRÓJ/FORUM



MARTA MIZURO



Mariusz Sieniewicz, „Spowiedź Śpiącej Królowej”, Znak, Kraków, s. 270, 32,90 zł

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Tylko nie trufle!

Ulubione danie króla to chleb z masłem. A prawdziwe delikacje dla czytelnika książki o władcy to ilustracje Eryka Lipińskiego

W każdą sobotę w RdC (Polskie Radio dla Ciebie) autorka prowadzi program „BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA” – informacje o książkach dla dzieci i wywiady z ich twórcami

Z twórczości Alana Milne’a znamy raczej tylko „Kubusia Puchatka”. A Anglik pisał także sztuki teatralne i wiersze dla dzieci, nie mniej zabawne niż powieści. „Śniadanie króla” jest opowieścią o tym, że w życiu czasem trudno o rzeczy najprostsze.

Król marzy o pajdzie chleba z masłem. Ma wszystko: marmolady, trufle, czekolady – tylko masła brak! Rymy o tym układają się niemal w takt piosenek, jakie o swym pustym brzuchu układał Puchatek ze Stumilowego Lasu: „Król z rozpaczyc całkiem zbałiał, maże się, by dać mu nabiąć...”. Zabawna historia okraszona jest komicznymi ilustracjami Eryka Lipińskiego. Każda to majstersztyk. Przez kolejne strony defilują bohaterowie – król, królowa, ochmistrz, pokojówka i krowa. Wszyscy z rumianymi policzkami i czerwonymi no-

sami. Lipiński był znanym plakacista i dziennikarzem. Wraz ze Zbigniewem Mitznem założył tygodnik satyryczny „Szpilki”, współpracował z „Przekrojem”. Jest także w gronie osób uhonorowanych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. „Śniadanie króla” z jego rysunkami wydane zostało w prestiżowej serii Mistrzowie Ilustracji.

MONIKA JANUSZ-LORKOWSKA



A.A. Milne, „Śniadanie króla”, Il. Eryk Lipiński, Dwie Siostry, Warszawa, 22 zł

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00, 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl lub mie.nazwisko@przekroj.pl REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnecka, Weronika Kostyrko, Julia Kubisa, Jacek Tomczuk, Maria Świetlik ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleszczyk, Kaliber 45 PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski FOTODZIEDYCJA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur KOREKTA: Ling Brett OSRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek STRONA INTERNETOWA I IPAD: serwisypłatne@prp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel

GREMI GRUPA

WYDAWCA: PRESSPUBLICA Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostólska BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 DYREKTOR DZIAŁU AGENCYJNEGO: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklamainfo@presspublica.pl druk: RR Donnelley

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195

PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe PRENUMERATA E-WYDANIA www.egazety.pl PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONIE WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



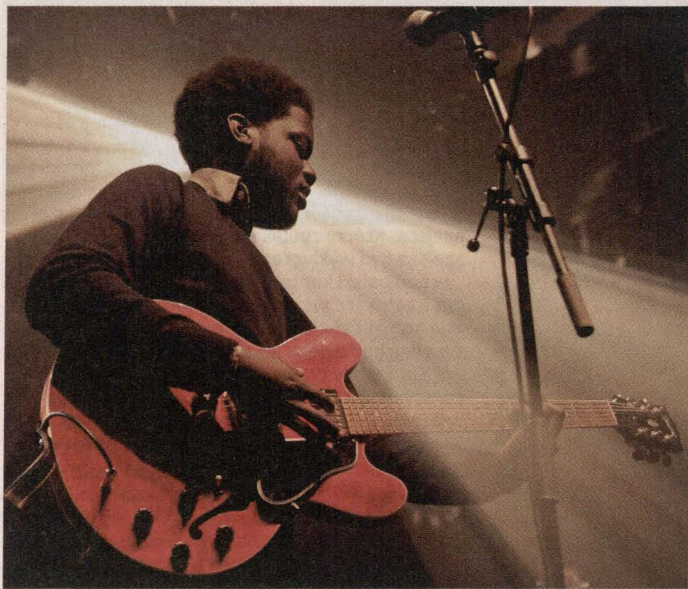
Okładka: Maja Rozbicka



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótnów w nadstanych artykułach i listach.

Śladami Adele

Wyświechtany termin „retro” za sprawą Michaela Kiwanuki znów kojarzy się pięknie



Jako jedna z pierwszych talentów tego młodego londyńskiego pieśniarza doceniła Adele, zapraszając Michaela do otwierania jej koncertów. Już to powinno mu wystarczyć, aby przyciągnąć rzesze fanów – dla debiutanta takiego jak on trudno wszak o lepszą reklamę niż wsparcie gwiazdy potężnej jak panna Adkins. Ale za pochodzącym z Ugandy 24-letnim Kiwanuką stoją nie tylko ona i argument wielomilionowej sprzedaży jej ostatniej płyty. Również najbardziej wpływowi brytyjscy krytycy dostrzegli w nim artystę wyjątkowego i w tegorocznej edycji plebiscytu BBC na najbardziej obiecującą nową postać na rynku właśnie jego umieścili na pierwszym miejscu.

Zaskoczenie? On, niepozorny chłopak z gitarą zapatrzonej w odległą muzyczną przeszłość, zafascynowany soulem i folkem z lat

60. i 70., zasłuchany w Billa Whitera, Marvinę Gayę i Johna Martynę, miałby porwać tłumy w 2012 r.? Fakt, brzmi to nieprawdopodobnie, co nie znaczy wcale, że jest to niemożliwe. Gigantyczny sukces wspomnianej Adele jest najlepszym dowodem na to, że po latach rządów plastiku i farbowanych lisów publiczność głodna jest artystów wolnych od retuszu, głosów bez cyfrowej korekty, w końcu prawdziwych emocji płynących z głębi serca. Kiwanuka i jego świetny debiut w pełni ten głód zaspokajają.

BARTEK WINCZEWSKI

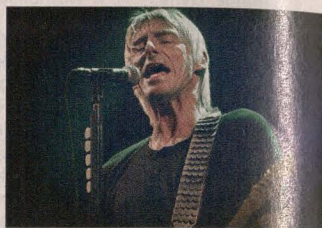


Michael Kiwanuka „Home Again”, Polydor

Praca nie tylko dla żony

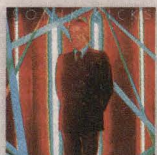
Skoro 53-letni weteran znów nagrywa jedną z lepszych brytyjskich rockowych płyt, to na Wyspach coś musi być nie tak z muzyką. A może wręcz przeciwnie?

Złotliwi mówią, że to dzięki dwóm młodszej od siebie żonom Paul Weller wziął się w garść. Rzucał narkotyki, odstawił alkohol, zaczął o siebie dbać i ciężko pracuje, żeby jej zaimponować. Fani The Jam i The Style Council wiedzą jednak, że jest jednym z najlepszych brytyjskich songwriter'ów i jego come back był nieunikniony. Po rewelacyjnych albumach „22 Dreams” i „Wake Up the Nation” na „Sonik Kicks” podtrzymał dobrą passę. Z jednej strony to jego młodzieńczy powrót do korzeni psychodelicznego rocka, a z drugiej wykład z historii muzyki popularnej i komponowania piosenek do zaawansowanych. Weller potrafi wybrnąć z transowego rytmu „Green”, odnaleźć się w głębokim dubie „Study in Blue”, uporać z popowymi refrenami „The Attic” i „That Dangerous Age”, za-



nucić balladę „By the Waters” albo rozczulić się w „Be Happy Children”. Kilka utworów ma nawet szansę stać się nowymi klasykami – na przykład „When Your Garden's Overgrown”. Na płycie pojawiają się m.in. Graham Coxon (Blur), Noel Gallagher (Oasis) i może nawet fani Super Furry Animals albo Primal Scream usłyszą tutaj znajome brzmienia. Oby pokolenie britpopowców też tak się zestarzało.

JACEK SKOLIMOWSKI



Paul Weller „Sonik Kicks”, Universal

Sen o własnym stylu

Na drugiej płycie VNM brak polskiego hip-hopu. Jest tylko hip-hop po polsku

Jeszcze niedawno mógł wypłynąć co najwyżej na Zalew Wiślany. Teraz, wraz z krążkiem „Etenzsyn: Drimz Kamyn Tru”, elbląski hip-hopowiec ostatecznie wypływa na szerokie wody. W jednym z utworów opowiada przecież wyraźnie zadowolony, jak to znany raper (którego swoją drogą niedługo kopiował) ustawia sobie jeden z jego wersów jako status na Gadu-Gadu. Ale słowa to jeszcze nie wszystko, co VNM imponuje. Są też kieszonki pełne pieniędzy, nos zanurzony po nasadę w białym proszku i nieodpisywanie na sms-y dziewczynom brany na jedną noc. Szczerze mówiąc, to trochę mało treści, by skleić z tego 14 utworów. Cóż, facetowi, który porusza się po podkładach oszałamiająco płynnie, napiętrza rymy z niekłamną pasją i na naprawdę wysokich obrotach, nie takie rzeczy fan hip-hopu gotów wy-



VNM „Etenzsyn: Drimz Kamyn Tru”, Prosto

MARCIN FLINT

Czy Mona Lisa i muszla morska mają cechy wspólne?

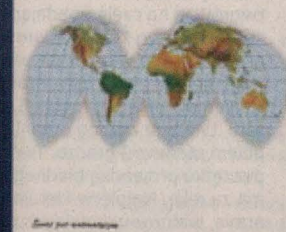


Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdziesz w książkach najnowszej kolekcji „Rzeczpospolitej”

„Świat **jest** matematyczny”

Zbierz je wszystkie, poznaj pasjonującą stronę matematyki i przekonaj się, że matematyka jest we wszystkim co nas otacza!

Tam, gdzie proste są krzywe
Geometria nieeuklidesowa



TOM 4

Tam, gdzie proste są krzywe

w kioskach od środy, 28 marca

- Matematyczne odkrycia, które wpłynęły na kształt cywilizacji
- Przełomowe twierdzenia najgenialniejszych umysłów wszech czasów
- Intrygujące teorie i hipotezy, nieprzeniknione zagadki i zaskakujące paradoksy

Poleca



RZECZPOSPOLITA

OFERTA PRENUMERATY: Zamiast szukać kolejnych pozycji w kioskach wyślemy Ci je do domu na nasz koszt. Zamawiając subskrypcję, otrzymasz także rabat ponad 20% i zaoszczędzisz 280 zł! Poznaj szczegóły oferty najwygodniejszych zakupów – zamów subskrypcję on-line na www.rp.pl/e-sklep

Zeszłego roku na Hebrydach

Przepiękna gra, w której nie dzieje się nic, czyli bardzo wiele

P o premierze filmu „Zeszłego roku w Marienbadzie” krążyła anegdota o podejrzanym o morderstwo człowieku, który dał policjantom alibi: był w kinie. Na czym? „Zeszłego roku w Marienbadzie”. A czy może opowiedzieć, o czym, z grubszą, jest ten film? Cóż, to pytanie sprawiło, że poszedł za kratki. Czuję, że pisząc o „Dear Esther”, jestem w podobnej sytuacji.

A więc o czym, z grubszą, jest ta gra? O nieokreślonej postaci, włączającej się bez celu po nienazwanej, opustoszałej wyspie, prawdopodobnie na Hebrydach. Od czasu do czasu słyszy ona głos starszego mężczyzny – może własny, może jakiegoś ducha, a może wyczytany z porzuconych nad brzegiem morza listów. Z nieznanych przyczyn głos opowiada na przemian o miejscu, które zwiedzamy, i o jakiejś autostradzie w Anglii, gdzie stało się coś bardzo ważnego (dlugo nie precyzuje co).

Znaki zapytania mnożą się i piętrzą, ale tylko do pewnego momentu. Kiedy przyglądamy się kolejnym miejscom (starej chacie na zboczu wzgórza, ruinom opuszczonej latarni morskiej, wyrzuconemu na brzeg żardzewiałemu wrakowi...) i słyszymy to, co ma o nich do powiedzenia nasz tajemniczy przewodnik, okazuje się nagle, że jego opowieści zaczynają składać się w całość. Donnelly – odkrywca badający wyspę 300 lat temu, Esther, do której narrator obsesyjnie pisze listy, i legendarny pustelnik, który podobno przybył tu w łodzi bez



dna, rozmawiając z morskimi stworami – wszyscy są bohaterami tej samej historii. Za jej pomocą narrator próbuje zrozumieć własną samotność. Bo przestrzeń wyspy to tak naprawdę przestrzeń psychiki i wspomnień. Zamiast psychoanalizy mamy spacer po nadmorskich skałach albo oświetlonych delikatną poświatą fosoryzujących grzybów jaskiniach. Zamiast pamiątek po bliskich zmarłych – trawę, kamienie, porzucone w krzakach butelki i puszki po farbie. W tle zaś towarzyszy nam coraz lepiej słyszalny huk gnecionej blachy jadącego kiedyś za szybko samochodu. Na pozór nie dzieje się nic – w rzeczywistości dzieje się bardzo dużo.

„Dear Esther” to komercyjna odłoga dostępnej od roku darmowej mo-

dyfikacji gry „Half-Life 2”. Od wersji bezpłatnej różni ją tylko grafika – odmieniona wyspa jest dziełem Roberta Briscoe (projektanta poziomów do gry „Mirror’s Edge”). Jego benedyktyńska praca budzi podziw – to dzięki pedantycznemu przywiązaniu do szczegółu wyświetlana przez leciwy już silnik Source wyspa to jedno z najbardziej zdumiewających miejsc, jakie można dziś odwiedzić w grach wideo. Wierzy się tu w każdy kamień i każdą kępkę trawy.

Wiele tzw. gier artystycznych traktuje się z dużą pobłażliwością, przypisując im na wszelki wypadek trochę więcej zalet, niż ich faktycznie mają. „Dear Esther” to tytuł na tyle solidny, że nie trzeba tu stosować taryfy ulgowej. Można więc bez specjalne-

go ryzyka zwrócić uwagę, że napisany przez Dana Pinchbecka tekst, który słyszymy, czasem trafia w sedno, a czasem gubi się w zalatujących grafomanią metaforach. Że drogi, którymi poruszamy się po wyspie, są często zbyt jasno zdefiniowane, nie pozwalając na włóczęgę, gdzie oczy poniosą.

Owszem, „Dear Esther” ma swoje wady. Ale jeśli kiedyś pojawią się Reznais albo Bergman świata gier, będą mieli wobec tego tytułu ogromny dług wdzięczności.

PAWEŁ SCHREIBER

„Dear Esther”, thechineseroom, distr. Steam, 6,99 EUR (PC)

Camelot: zmiana warty

K iedy w rozpoczęciu gry „Król Artur II” twórcy pokazują nam eksplozję Świętego Graala, która poważnie uszkadza legendarnego władcę Artura, i wysłała go na długi urlop zdrowotny, wiadomo, że terapie, które tym razem czekają Brytanie, to nie przelewki. Rycerze Artura zaczy-

nają ze sobą walczyć, spod ziemi wychodzą hordy przedwiecznych potworów, a na czele upadającego państwa staje syn króla William Pendragon. I w niego właśnie się wcielamy.

Na pierwszy rzut oka „Król Artur II” to niemal kopia poprzedniej części serii, tyle że z bardzo ograniczonym polem manewru gracza. Twórcy od początku prowadzą biednego Williama za rękę. Najpierw kierujemy jedną armią, walcząc w kolejnych wyznaczonych fabułą bitwach. Potem armii pojawia się kilka, ale nie daje to poczucia samodzielnego prowadzenia ogromnej wojny. Sytuacji nie poprawia uproszczony model rozbudowy

państwa. Jako całość pierwsza część była stanowczo bardziej interesująca.

Z czasem „Król Artur II” pokazuje jednak swój pazur. W tej grze chodzi tylko o widowiskowe bitwy a la Total War, ileż o pojawiające się na każdym kroku wybory, dużo ciekawsze niż w poprzedniej części. Zadania poboczne to dobrze napisane gry tekstowe, w których wybieramy dalszy tok działania, chodząc po opisywanych przez narratora labiryntach, rozwiązując zagadki i prowadząc roko-

wania. Od każdej z tych decyzji sporo zależy – choćby to, kogo rozdrażnimy, a kto nas polubi, bo w „Królu Arturze II” działa bardzo solidny system

frakcji. Lawirując pomiędzy przesyconymi magią Sidhe’ami, miejscowymi mnichami i zdradzieckim sąsiadem, który trzyma w swoich lochach kawałek rozprysniętego Graala, można łatwo zapomnieć o ograniczeniach i dać się ponieść baśniowym intrygom snutym w baśniowym krajobrazie, chyba najpiękniejszym ze scenarii współczesnych gier strategicznych.

William to nie Artur, ale warto dać mu szansę. Potrafi oczarować.

„Król Artur II”, Neocore Games, distr. Cenega, 99,90 zł (PC)

ROZMAITOŚCI: KRZYŻÓWKA NR 13

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

NASZE BADANIA WYKAZAŁY, IŻ DĄŻENIE DO WŁADZY, JEST ZWIĄZANE Z TAK SILNYM I DŁUGOTRWAŁYM STRESEM, ŻE ZDOBYWA JĄ JUZ TYLKO SZALEŃCY.

POZIOMO:

1. OBLUPANY POSĄG

7. NAKŁADANE NA CZŁONKA

8. WIĄŻE SIĘ Z TRUDEM

9. PAŁKA ZAPAŁKA

10. POCIĄGA GO ZABÓJCZYNI

13. CIASTOLAT
14. CZĘŚĆ KLUCZA

17. ŚLIZUS

18. NOCNA CZARA

20. SPOTKALI SIĘ, ABY OBALIĆ

25. MA DWIE LEWE NOGI

31. BRANY PRZEZ SPORTOWCÓW
32. KOWALSKI CHLEBA

33. MĘCZENIE MIŁOSZA, KŁEPANIE WOJACZKA

34. O BORZE

35. POBIERA KREW

36. ZARABIA NA CHŁEB W REKLAMIE

PIONOWO:

1. PIERWSZY Z BRZEGU

2. CZĘSTO ZMIENIA KANAŁY

3. U RETY

4. NA SAMEJ GÓRZE RÓŻE

5. GORZKO, GORZKO

6. SIOSTRA CYRYLA

11. CIOTKA DOBRA RADA

12. KLIMATYCZNE MIEJSCE
14. CIĄGNIE ZA UCHO

15. PROSZEK DO PIECZENIA

16. CIEMNA MASA

18. MATERIAŁ NA PŁYTĘ

19. DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI

21. WIKTORIA OKRUTNA

22. POCHODZENIE
23. WYKASTROWANY KASTRAT

24. KAWAŁ ŚWIATA

26. OBRAZY ŻONY MATEJKI

27. SPRZEDAWANA NA WAGĘ

28. PÓŁGĘBEK

29. UBRANIE PO BRACIE

30. DROGI CZASU



Nagrodą w tym tygodniu jest książka Programowanie mobilnych stron internetowych z wykorzystaniem systemów CMS. Świat oszalał na punkcie smartfonów. Wykorzystaj niezwykłe możliwości platform WordPress, Joomla! oraz Drupal i twórz zachwycające witryny dla urządzeń mobilnych!

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 13”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 1 kwietnia 2012. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

LAUREACI Z NR. 10

Józef Błażejowski, Legnica; Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Sylwia Koczak, Poznań; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Grażyna Miller, Olsztyn; Włodzimierz Mytnik, Kraków; Barbara Piskard, Opole; Kazimiera Wielgoś, Opole; Edward Zaczek, Zator

ROZWIĄZANIE Z NR. 11 KRZYŻÓWKA: SZMARAGDY

POZIOMO: 1. QUO VADIS TRAKTOR? – URSUS 6. BŁOK WOJSKOWY – SZEREGOWIEC 8. SZTUKA NAMAWIANIA – ZACHĘTA 9. BŁYSZCZYK MĘSKI – CHROM 10. WYNOŚNI NAD OLTARZE – EKSTAZA 11. ZMIENIA CHARAKTER PISMA – SZYFR 14. NARZUCA SIĘ W SYPIALNI – KAPA 15. DOSZYĆ – BASZTA 18. LUCYNA SIEDZI W HACJE – HALUCYNACJE 19. CZESKA WYSPA – JAWA 21. WCHODZI NA RYNEK – KRAKUS 26. MĄDRZE GO WYCIĄGNIJ – WNIOSEK 31. PRACUJĄ PRZY WÓDCE – DROŻDŻE 32. TORUJE DROGĘ – WIADUKT 33. WIELBIcielka EVITY – PERONÓWKA 34. NAKŁADANA NA BARANA – SANKCJA 35. KUPEK – NABYTEK 36. WOLI W OKOPACH – KOMBATANT

PIONOWO: 1. POROZUMIENIE PRAWICY – UŚCISK 2. CHUŚTAWKI NA PODWÓRKU – SKRZYP 3. SERDECZNY NIEPRZYJACIEL – SZMER 4. STARA WAŚN – SCYSJA 5. GRA NA RĄBCE – REBACZ 6. POPULARNIE O KAPUŚCIE – SALATA 7. CECHUJE BOHATERA – CHARAKTERYSTYKA 12. OJCIEC MARNOTRAWNY – ZAKAŁA 13. AKCJA W CIEMNOŚCI – FABUŁA 15. W PEDANC-KIEJ KUCHNI – BŁYSK 16. NIEZNANA NIEZNANYM – SŁAWA 17. CYKLON T – TAJFUN 19. KUKA W KLATCE – JUDASZ 20. CWiARTKA CHŁOPÓW – WIOSNA 22. STOI NA ŻÓŁTYM POLU – RZEPAK 23. POTRZEBA CZŁONKÓW – KWORUM 24. ZA MAŁA NA JEJONKĘ – SIONKA 25. POCIĄG DO PIERSI – WDECH 27. PTAK W TAKÓWCE – SÓWKA 28. NIEWIELKOŚĆ FIZYCZNA – KWANT 29. WYGRANA W BRAZYLII – SAMBA 30. W HOŁOUBEK – GUSTA



Wpraw swoje pomysły w ruch

Poznaj profesjonalne programy do animacji i naucz się ich obsługi. Dowiedz się, jak tworzyć interaktywne bannery na strony www z programem Adobe Flash® CS4. Zostań mistrzem filmowych efektów specjalnych i poznaj podstawy montażu z kursem After Effects® CS5.

W poniedziałek (26 marca) – Kurs Flash®
We wtorek (27 marca) – Kurs After Effects®
 tylko z „Rzeczpospolitą”

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.



RZECZPOSPOLITA

rp.pl/hity



ZNOWUROZMAIĆSIĘ

RACZKOWSKI NA KONIEC



RETROSPEKCJA

Moja siostra ma nieśmię tego samego tatę, co i ja.

Las ten był tak rzadki, że wcale nie miał drzew.

Pod welonem panna młoda miała wykład prawniczy.

W liściach do matki pokazuje język.

HUMOR ZESZYTÓW wydaliśmy z listów, które nadeszły: mgr MK z Krakowa, Krystyna R. z Łodzi, Katarzyna P. z Lublina.

Dziękujemy.

Cały świat
 W notatce pod szumnym tytułem „Językoznawstwo i literaturoznawstwo” w marcu krytykamy następującą wiadomość: Słuchaniem Miejskiego Komitetu Kultury i Sztuki w marcu br. zimowe mistrzostwa lekkoatletyczne Czechów w hali. Są to mistrzostwa świata dla państw Europy Środkowej, dla których Czechów to cały świat. (Nadesłał: A. Górecki)

„PRZECIŃ” z 24 MARCA 1982 R.

„PRZECIŃ” z 24 MARCA 1982 R.

NIE TAK: JAN KOZA



„PRZECIŃ” z 24 MARCA 1982 R.

MYŚLNIK
KRZYSZTOFA BILICY
Najmniej romantyczna jest ruina człowieka.



KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA

Wszystkie odloty Chyenne’a

Intelektualny dramat funeralny

Występują: SEAN PENN jako ROBERT SMITH oraz ROBERT SMITH jako himself

SEAN PENN:

(udaje się do posiadłości Roberta Smitha w celu udośćnienia muzyki, licząc przy okazji na drinka i wynajęte jedynie słusznych poglądów na temat amerykańskiej polityki zagranicznej)

ROBERT SMITH (otwierając drzwi, ponuro):

Nie, dziękuję, lustro już mam (wraca na pokój i od ręki komponuje sześć depresyjnych songów o śmierci)

KURTNA – z powodu zbiorowego samobójstwa członków ekipy technicznej – nie zapada.

ROMAN KURKIEWICZ

Ranna policjantka

LEMO MYŚLNI

I tylko media, jak ten zdradzony o świecie, dowiadują się o ostatnie. Albo gorzej, w ogóle się nie dowiadują, bo nie wiedzą, że są łatwą szaradą, prostą łamigłówką, nieskomplikowanym równaniem w dół



Kiedy policja rusza do jakiegś dziwnego akcji (ostatnio Elba, wcześniej interwencja w warszawskim hotelu InterContinental podczas happeningu na konferencji o gazie łupkowy), to zanim ją skończy media poinformowane przez policję hucają: „Policjantka ranna!!!”

Dlaczego zawsze ranna jest policjantka? Dlaczego pierwszy raz? Dlaczego inni ranni, np. ze strony pacykowan, nie pojawiają się w komunikacie? Bo policja nauczyła się posługiwać mediami.

Policjantka kobieta. Ranna kobieta. Straszne. Czy prawdziwe? To już nieistotne. Komunikat wisi na stronach internetowych godzinami. Kiedy policja przygotowywała się do pacykacji manifestujących w obronie skotu Elba, rzecznik policji obecny na miejscu, bez zmuszenia oka, patrzeć jasnym wzrokiem, igał, odpowiadając na pytanie, dlaczego interweniujący policjanci się nie przedstawiają. Zapewniał, że dlatego, iż nie interweniują, tylko są. W tej samej chwili z policyjnego radiowozu rozlegały się kolejne wezwania do rozejścia się nielegalnej manifestacji. To takie wezwania są interwencją czy nie? Kiedy w ruch poszły paki i gaz, także w niepamięć poszły odpowiedzi na pytanie, dlaczego anonimowo poszły w ruch. I wtedy za-

miast innych kwestii leci w świat „ranna policjantka”. I już. Greps o rannej policjantce pojawia się rutynowo. Może trzeba zapisać, czy podczas każdej dziwnej akcji policyjnej po prostu zawsze jest „na stanie”, „ranna policjantka” tak jak strzelba u Czechowa, która widoczna w pierwszym akcie musi wystąpić w trzecim.

Operacja „Ranna policjantka” jest przygotowana perfekcyjnie. Zawsze są nosze i zawsze jest widowskowno. I zawsze wtedy „ranna policjantka” uzasadnia wcześniejszą interwencję nierannych policjantów, którzy ranią tych, którzy mają potem zranioną policjantkę. I tak to się toczy, kolebie, filmuje, rozpowszechnia. Chcemy równouprawnienia, równego traktowania,żeńskich koncówek, to mamy „Ranną policjantkę”.



Premierową grę
Mass Effect 3
otrzymasz
w prezencie!

gra w polskiej
wersji językowej
już w sprzedaży

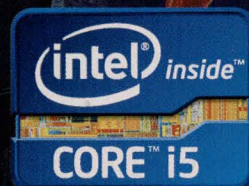
Everybody On 



HP Pavilion dv7-6b30ew
Z procesorem Intel® Core™ i5-2430M

3099,-

SFeRIS



więcej nowości HP w sklepie internetowym SFeRIS.PL

© 2012 EA International (Studio and Publishing) Ltd. Mass Effect, logo Mass Effect, BioWare i logo BioWare są znakami handlowymi lub zastrzeżonymi znakami handlowymi EA International (Studio and Publishing) Ltd. w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach. Wszystkie prawa zastrzeżone. EA i logo EA logo są znakami handlowymi lub zastrzeżonymi znakami handlowymi Electronic Arts Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach.

Ultrabook, Celeron, Celeron Inside, Core Inside, Intel, Intel Logo, Intel Atom, Intel Atom Inside, Intel Core, Intel Inside, Intel Inside Logo, Intel vPro, Itanium, Itanium Inside, Pentium, Pentium Inside, vPro Inside,